



# BLUSZCZY

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

**Prenumerata w Warszawie:**

We wszystkich księgarniach i kantorach pisma peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60; rocznie rub. 7 kop. 20 z 20 tomami rub. 9 kop. 20, w oprawie rub. 12 kop. 20. Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50, z 20 tomami rub. 13 kop. 20, w oprawie rub. 16 kop. 20. Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Pod kierunkiem literackim  
**Zofii Seidlerowej.**

*Ekspedycya Główna ulica Nowy-Swiat Nr. 41.*

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszczy“ po kop. 15 za wiersz petitom lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego“ w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk., z przesyłką pocztową 4,30.

Eugenia Żmijewska.

## KOBIETA POLSKA

W DZIENNIKARSTWIE.

Referat,

odezany na Zjeździe Kobiet polskich.

(SEKCJA EKONOMICZNA).



U progu przybytku wiadomości dobrego i złego zasiadły kobiety. Ich ręce dzierżą klucz do panoramy wszechświata, zwanej dziennikiem. Tym kluczem, otwierającym Sezam ludzkich myśli, działań, przelanych w stal czcionek drukarskich jest — kwit prenumeracyjny.

Za kratą źródła wszechwiedzy, przy kaskowym okienku, nie ujrzyj innej twarzy, jeno kobiecą. I ktoby o składzie personelu redakcyjnego sądził z przedsiönka redakcyi, z tak zwanego „kantoru“, ten mógłby głosić, że kobiety wyparły zupełnie mężczyzn z tego pola pracy, a idąc dalej, po drodze wniosków pobieżnych, mógłby twierdzić, że ich zmysł publicystyczny połączony jest... z bardzo małą dozą uprzejmości. Takie wrażenie odnosi się zwykle, stojąc po drugiej stronie kraty, za którą „panienki“ różnego wieku i urody, z mniejszą lub większą ochotą udzielają zwoleńnikom publicystyki prawa na — miesięczne, kwartalne, lub całoroczne informowanie się: co słyhać na szerokim świecie.

Sąd ten byłby pobieżnym. Ani kobiety nie rozsiadły się wszechwładnie przy biurkach redakcyjnych, ani panienki z po za kraty nie mają nic przeciwko zwiększeniu się liczby prenumeratorów; ale zmuszone, od 10 ej zrana do 6-jej, a niekiedy do 8-jej wieczorem, za 20 do 30-tu rubli na miesiąc siedzieć za tem okienkiem, wśród przeciągów, w ciemnym, wilgotnym zwykle kojcu, zmuszone odpowiadać na wszelkie pytania, mogące przejść przez ludzką głowę, dochodzą w krótkim czasie do takiego stanu nerwów, w którym każdy nowy kandydat do kwitu abonamentowego uważany bywa w głębi duszy za wroga.

Dlatego właśnie, że kobiety można posadzić w byle jakim kojcu i płacić im za 10 godzin pracy (z 2-u godzinną przerwą na obiad) po 20—30-tu rubli miesięcznie, dla tej taniej możności, one to właśnie, a nie mężczyźni zasiadły po za kratą, okalającą źródło wiadomości złego i dobrego.

Przyjmowanie prenumeraty jest pierwszym szczeblem drabiny, na którym, wśród chłodu, przeciągów i wilgoci, gnieźdzą się adeptki dziennikarstwa.

Drugim szczeblem jest — korekta, ściślej szemi już węzłami złączona z publicystyką i literaturą. Korektorka jest to taka osoba, która za 20 — 40-tu najwyżej rb. na miesiąc obwiązana jest znać doskonale: gramatykę polską, parę obcych języków, historię, geografję, fizykę, chemię; być obznajmioną z bieżącymi wypadkami politycznymi; pamiętać nazwiska wszystkich mężów stanu na obu półkulach, wszystkich uczonych, wszystkich przestępców; znać ulice głównych miast kuli ziemskiej, a przede wszystkim, umieć odczytywać nowoczesne hieroglify. To są jej obowiązki, którym, ma się rozumieć, żadna nie sprosta, bo gdyby posiadała te warunki — zamiast robić korektę za 20 rubli na miesiąc, zajmowałaby jaką katedrę naukową. A jej przywileje?

Jednym z donioślejszych — jest możność wysłuchiwania, w ostrzejszej, lub łagodniejszej formie wyrażanych pretensyi literatów lub zwyczajnych reporterów, piszących zarówno niewyraźnie i tak samo oburzonych na jej przeoczenia, na tak zwane „zwierzęta“, buszujące za jej pośrednictwem, na szpaltach pisma.

Oto, na chybi trafi, kilka próbek złośliwości tych „zwierząt.“

Czytelnik nieraz łamie sobie głowę, skąd w sprawozdaniu z odczytu wzięła się *krawcowa*? Nazajutrz z rubryki sprostowań dowiaduje się, że miało być *krasomówstwo*. Nie mniej jest zdziwiony, gdy wśród dyplomatów, zgromadzonych w Algeciras, znajduje „międzynarodowego Chunchuza.“ Ten niebawem okaz etnograficzny jest, ma się rozumieć, „zwierzęciem“, stworzonym przez zecera, wpuszczonym do dziennika przez korektorkę. Nie powołał go do życia autor, którego całą winą było, że napisał niewyraźnie słowo *konferen-*

*cya*, zamienione na *Chunchuza*. Czasem trudno się dopatrzeć omyłki, gdy na przykład, zamiast „wiekopomny“, wyczyta się: „wiecowy dzień“ 30-go Października, lub zamiast *miódowe* — *wiadome* miesiące. Łatwiej już błąd sprostować, jeśli na miejsce „kanalizacyi“ zakradnie się „kanonizacya“ miasta Warszawy, nie zasługującego przecież na takie zbiorowe odznaczenie. Za czasów cenzury, przywilej wysłuchiwania skarg na złą korektę był jeszcze rozleglejszym, gdy „prowokator“ zamiast „prokurator“ „tronowe“ zamiast „trzonowe“ zęby „konstypacya“ — zamiast „konstytucya“ — mogły ściągnąć na dziennik karę pieniężną, lub nawet — zawieszenie go na czas dłuższy.

Z tych przykładów można sobie wyrobić pojęcie o doniosłym i odpowiedzialnym stanowisku korektorki. Dzierżą je po większej części panienki z podupadłych obywatelskich domów, które, jako jedyne dziedzictwo, wyniosły z nich: umiejętność wysławiania się po francuzku, niekiedy po angielsku, rzadziej po niemiecku, bardzo pobieżne pojęcie o całości kształcie umysłowych zdobyczy ludzkości; po za tem niezbyt wielkie poczucie obowiązku a minimalne poczucie akuratności i punktualności. Skutkiem tego, zamiast, dajmy na to o 11-jej, przychodzi do swych zajęć o w pół do pierwszej. O ile są ładne i wesołe, ucho dzi im to bezkarnie. Pracę traktują, jako przejściowy okres pomiędzy ruiną finansową rodziców a zamążpójściem, i nie wkładają w nią duszy. Pracują uważnie — o ile w danym dniu nie cieszą się przyjazdem kuzynki, lub nie smucą odjazdem bogatego wujaszka, który co wieczór brał je ze sobą do teatru. Po roku, dwóch, trzech, pięciu, o ile cierpliwość redaktorów i wydawców nie wycierpała się, a panienka za mąż nie wyszła i przez ten czas trochę zwiędła, przekonawszy się, że „tymczasowość“ pracy może przejść w stan chroniczny, nieuleczalny, korektorka zaczyna się godzić ze swym losem, gorliwie błędy drukarskie wyławiać, z każdym rokiem staje się sumienniejszą, akuratniejszą. Można śmiało twierdzić, że dokładność korekty znajduje się w stosunku odwrotnym do urody młodości i powodzenia u mężczyzn korektorki. To samo zresztą zastosować się daje do wszelkiej zarobkowej pracy kobiecej, o ile ni



jest ona zespoloną z twórczością. Statystyka, badając różne pola działalności kobiet, dochodzi do tego samego wyniku.

Trzeci szczebel na dziennikarskiej drabinie zajmują—tłomaczki. Imię ich—legion. Ktokolwiek zna „teoretycznie lub praktycznie“ jaki obcy język, choćby znał słabo własny, zabiera się do przyswajania literaturze polskiej arcydzieł obcych—po groszu od wiersza. Mnóstwo takich przekładów, bez straty dla ludzkości, tonie bezpowrotnie w koszach redakcyjnych, ale i te, które wypływają na szpalty dzienników, starczą, aby, najnieśluszniej, rzucić gruby cień na produkuje literatury zagranicznej. Snop tego cienia zwiększa protekcyja i nepotyzm. Każdy redaktor, każdy sekretarz redakcyjny ma kuzynkę, żonę, lub córkę przyjaciela, które, pragnąc „pożytecznie“ użyć wolne chwile, zajmują się przekładami powieści, oddając je bądź darmo, dla przyjemności ujrzenia swych „utworów“ w druku, bądź za minimalną opłatą... jakichś tam ułamek kopiejki od wiersza. Zastęp tłumaczek-amateerek zwiększają panny z „dobrych domów“, pragnące ulżyć rodzicom i zarobić sobie kilka rubli miesięcznie na kapelusz, droższy od tego, jaki mogłyby sobie sprawić przy zwyczajnych dochodach, na bliższy rząd krzeseł teatralnych i większą ilość par rękawiczek i bucików. Ta nielojalna konkurencya obniża honorarya tłumaczek zawodowych. Możliwy się dziwić, że ktoś, nie mający pojęcia o rzeczy, zabiera się do niej, ale u nas, każdy robi nie to, co powinien: aptekarze uprawiają literaturę, filozofowie — medycynę, panny—uświadamiają rodziców. To też w kraju dyletantyzmu, różnica pomiędzy dziennikarstwem a szewctwem, jest między innymi i ta, że dla sprawowania zawodu szewckiego trzeba terminować w rzemiośle; że chcąc się wyzwolić, trzeba wykonać jakiś majstersztyk. Aby sprawować zawód dziennikarski starczy ochota—lub konieczność zarobienia na kape-

lusz albo na—obiad, starczy pójść do sklepu z materiałami piśmiennymi.

A jak trudno przy rynsztunku, nabytym w sklepie z materiałami piśmiennymi, wyruszać na połów pereł literatury wszechświatowej, mogę o tem powiedzieć na mocy krwawego, mogłabym rzec, długoletniego doświadczenia. W ciągu lat dwudziestu mej skromnej dziennikarskiej pracy przetłumaczyłam 117-cie powieści z języków rozmaitych. Wspominam o tem, nie dlatego, żeby mieć przyjemność mówić o sobie, lecz, że z osobistych, smutnych doświadczeń, mogę dać najbardziej źródłowy dokument niemocy i zmagania się z zawodem, do którego przystępuje się bez żadnych innych kwalifikacji, oprócz dobrej woli.

Przed laty dwudziestu, gdym stawiała pierwsze, bardzo nieśmiało, kroki na dziennikarskim zagonie, pewnego dnia przyszedł do mnie Sienkiewicz, ówczesny redaktor „Słowa“ z zapytaniem, czy potrafię przetłumaczyć śliczną powieść angielską Wallace'a z czasów Mesjaszowych p. t. „Ben Hur.“ To, że była śliczna, że była po części historyczna, stanowiło zarazem postrach i ponętę.

— Nie zdołam—było moje pierwsze słowo. Sienkiewicz zachęcał, radził spróbować.

Nie wiedziałam nawet: jak się wziąć do tego.

— Bardzo łatwo — przekładał mi żartobliwie — bierze się papier, atrament i pióro, — i ja nie miałem nic więcej, zabierając się do pisania „Ogniem i Mieczem.“ Zresztą, będąc poprawiał.

Takie współpracownictwo dodało mi otuchy.

Wzięłam i ja... papier, atrament i pióro, i zaczęła się męka.

Stałam przed swem zadaniem tak bezradna, jak gdyby mi kazano przelewać Wisłę kwartami do morza. Nie miałam pojęcia jak zacząć, z której strony chwycić byka za rogi — czy tłumaczyć słowo po słowie, zdanie po zdaniu, — czy całe okresy czytać, przezu-

wać w myśli i przelewać je następnie na papier. Próbowałam wszelkich sposobów i doszłam do przekonania, że należy przedewszystkiem myśleć tym językiem, na który się przekłada, nie zaś tym, z którego się przekłada, że przetłumaczywszy rozdział, okres po okresie, patrząc w książkę, trzeba książkę zamknąć, zapomnieć o tekście i z rzuconego w ten sposób na papier materiału, przerabiać rzecz na polski język — słowem pisać dwa, niekiedy trzy razy. Jeśli się postępuje inaczej, zawsze znać będzie w robocie fastrygę, przeglądać z niej będą białe nici obcego wzoru. Że to praca nie mniej ciężka od żęcia i mlócenia, to pewna.

Musiałam się w tem mojem pierwszym tłumaczeniu potykać z innymi jeszcze trudnościami. Przyszedł rozdział, opisujący bitwę na morzu, inny z opisem wyścigów na rzymskich kwadrygach, inny jeszcze, z cytatami z Biblii. Aby mózż temu podołać, aby obznajomić się z potrzebną nomenklaturą, z odpowiednim językiem, musiałam wczytywać się w Iliadę, Odyseę, w Pismo Święte Wujka, w historię rzymską, słowem odbywać studia, jakby dla napisania dzieła oryginalnego. Korzyścią materialną był zarobek, obliczany po kopiejce od wiersza (jako dla początkującej tłumaczki), co wyniosło za dwa tomy 120 rubli. Sprzedałam ten przekład księgarzowi z prawem dalszych wydawnictw—za 50 rb. A jednak, przetłumaczenie tej pięknej powieści opłaciło mi się sówicie: zdobyłam trochę wprawy, dzięki głównie dobroci niezrównanej Sienkiewicza. Poprawiał mi rękopis, na marginesie udzielał wskazówek, kreślił słowa zachęty. Moje tłumaczenie ściagało go po całej Europie, a muszę dodać, że w tym czasie był chory i zajęty pisaniem „Pana Wołodyjowskiego.“

Z uwag na marginesie, dowiedziałam się, jak należy przetapiać słowa obce na własne, i czego, oprócz papieru i atramentu, potrzeba, aby literaturze swojskiej przyswajać zdoby-

## Z doby obecnej.



Treny żałobne. — Holdy sportsmenów na cześć autora „Wesela.“ — Kto nami przewodzi i kto nas reprezentuje. — Kim był Wyspiański. — Analfabetyzm duchowy społeczeństwa i poetów warszawskich. — Oplakane skutki represji cenzuralnych. — Zapowiedź nowej wielkiej kampanii literackiej. — Nerwowość młodych. — Nasza prowincya i Wyspiański.

Krytycy i dziennikarscy literaci odśpiewali już swoje urzędowe treny, wszystkie nasze towarzystwa muzyczne, społeczne i—*hic haeret aqua* — wszystkie korporacje sportowe, a więc cyklisci, wioślarze, łyżwiarze, atleci i t. d., i t. d. w wyrazach „głębokiego smutku“, oplakali niepowetowaną dla narodu naszego stratę, poniesioną przez śmierć genialnego autora „Wesela“ i wielkiego artysty, Stanisława Wyspiańskiego.

Wszelkim formom i formalnościom stało się więc najzupełniej zadosć. Ba, z Warszawy na pogrzeb twórcy nieznanymi przedtem w piśmiennictwie polskiem wspaniałych,

wstrząsających do głębi duszą polską, pełnych koloru i myśli dramatów, udali się nawet „delegaci“ od prasy ze stolicy naszej, ale pożał się Panie Boże nad niektórymi z nich, bo z depez w swoich pismach, nadsyłanych im od korespondentów z Krakowa, sami biedaczyska coś nie coś zaledwie na wyjeźdźnym dowiedzieć się mogli, kto właściwie był Stanisław Wyspiański!

Biedny naród, którego przedstawiciele grzebią drogie zwłoki wielkiego człowieka, nie wiedząc kim był duch potężny, docześnie zamieszkujący w lichem, bo znikomem ciebie. Te dziesiątki depez od przeróżnych korporacji sportowych, jakżeż pusto, jak przygnębiająco brzmią, jakżeż zbyt ciężko zdają się być wysyłanymi przez ludzi, którzy może o Wyspiańskim nigdy w życiu nie słyszeli. To też — jak czytaliśmy — kondolencje wyrażano rodzinie „barwnego kolorysty“, „utalentowanego rzeźbiarza“ i t. d., i t. d., używając tytułów, na które Wyspiański nigdy się nie zasługiwał.

Odszedł geniusz, który wstrząsnął wszystkimi głębszemi umysłowościami w Polsce,

który zapisał sam swoim piórem wielką kartę w dziejach narodu polskiego, ale którego ten naród za życia nie poznał, w idee jego potężne nie wniknął!

Bo nie ludźmy się, że Wyspiański w Polsce był znanym. Głośnem stało się jego nazwisko, ale obcym ziemi naszej był jego duchomocarz, przewielki duch.

Gdzież, prócz Galicji, czytywano u nas Wyspiańskiego, gdzież wiedzą choćby tylko, co Wyspiański w życiu swoim napisał?! Któż z pośród przeciętnych inteligentów lub inteligentek naszych choćby wymienił tylko blisko dwadzieścia tytułów książek, które Wyspiański ogłosił był drukiem?!

Jako papugi powtarzano i wymawiano tylko ustępy z „Wesela“, ale czyż i to nawet najłatwiejsze „Wesele“ było rozumiane przez rodaków twórcy „Wyzwolenia“?

Czegóż żądać jednak mamy od naszych rejentów, prowizorów farmacyi, wikarych, mecenasów, sekretarzy hipotecznych, od pracujących lekarzy, wreszcie od nigdy czasu nie mających, bo po wsze wieki troskami innych zajętych, wszelkiego typu *genre'u* ku-

cze litera-  
gu mojej-  
sku, że n-  
się opłac-  
całą sum-  
domości  
ujemy /  
ności.

B

Naza-  
wyczer-  
wstała,  
co; nie-  
wszyst-  
myśl,  
sprawia-  
cieńczo-  
dną no-  
Stan-  
któr p-  
na tyft-  
Wob-  
zostać  
bez jeg-  
kobiet  
Zary-  
z tros-  
usługi  
Nie  
sam z-  
re, po-

mosze-  
no, a  
specyf-  
którzy  
motwo-  
daw-  
wielki  
bytu

Ci  
ci wa-  
ły his-  
my,  
go, l-  
ficzny  
stano-  
z po-

Sm-  
się,  
wszyst-  
niedo-  
skiego  
z tró-  
sza,

Ar-



eze literatury zagranicznej. W ogóle, w ciągu mojej pracy zawodowej doszłam do wniosku, że najmniej nawet popłatna robota zawsze się opłaca, jeśli staramy się wkładać w nią całą sumę naszej dobrej woli, naszych wiadomości i jeśli za honorarium minimalne pracujemy *jak najlepiej* w granicach naszych zdolności.

(Ciąg dalszy nastąpi).



MARYAN GAWALEWICZ.

## BEZ CELU.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Nazajutrz Sewerka podniosła się z łóżka wyczerpana, osłabiona, jakby z letargu powstała, ale przytomniejsza i uspokojona nieco; nie mogła sobie przypomnieć od razu wszystkiego, co zaszło, musiała wyteżać umysł, aby zrozumieć, co do niej mówiono, sprawiała wrażenie ogromnie przybitej i wycieńczonej chorobą istoty, której przez jedną noc dwadzieścia lat przybyło.

Stan Broni natomiast pogorszył się; doktor po zbadaniu jej orzekł, że „zanosi się na tyfus.“

Wobec tego Dowmunt zdecydował się pozostać u Strzałkówien i dozorować chorej; bez jego pomocy położenie dwóch samotnych kobiet stawało się rozpaczliwe.

Zarzykował i zamiast pomyśleć o sobie, z troskliwością brata oddał się cały na usługi Sewerki.

Nie odstępując prawie od łóżka Broni, sam zmieniał jej okłady, mierzył temperaturę, podawał lekarstwa, poprawiał poduszki,

badął puls i wpatrywał się w rozpaloną twarzyczkę z ponurym marsmem na czole, a z wyrazem bolesnego zatroskania w oczach.

Ptzez całe doby nie rozbierał się wcale i nie kładł spać; przysunął sobie stary, wygodny fotel i w nim spędzał przy łóżku chorej krótkie noce wiosenne, drzemiąc o tyle, o ile chora wydawała się spokojniejszą.

Trzeźwił się i podtrzymywał czarną kawą, którą sam sobie gotował na spirytusowej maszynie.

Sewerka po dwóch dniach zaczęła już wychodzić na miasto i odzyskiwać powoli swoją energię, ale były to jakieś nerwowe, krótkotrwałe wysiłki, po których wpadała znowu w zupełny rozstrój i apatyę; to gorączkowo kręciła się z kąta w kąt, nie zdejmując kapelusza, gotowa ciągle do wyjścia, roztargniona, zapominająca o wszystkim, to znowu siadała gdziekolwiek, spuszczała głowę i pogrążona w głębokiej zadumie, zdawała się być nieprzytomną.

Dowmunt musiał za nią pamiętać nawet o najdrobniejszych sprawach domowych i rozporządzać się na własną rękę.

Nie mógł się od niej dowiedzieć dokąd wychodziła, co robiła, z kim się widziała, bo albo zbywała go zupełnym milczeniem, albo dawała odpowiedzi niejasne, bez związku, powtarzając:

— Dajcie pokój, dajcie pokój!... już ja wiem. To się zdecyduje dziś, jutro...

Wobec choroby siostry okazywała prawie obojętność, jak gdyby sobie niedostatecznie zdawała sprawę z groźnego jej stanu; słuchała, co mówił doktor z głową spuszczoną, z rękoma splecionymi, patrząc bezmyślnie przed siebie, albo na Dowmunta, ściągając swoje grube, czarne brwi, siląc się niekiedy skupić uwagę mętną i przytakiwała:

— Dobrze, dobrze panie konsyliarzu,—ale znać było po niej, że nie wiele zapamiętała z jego poleceń.

Jedyną troską, jedyną zgorą, która drę-

czyła jej umysł i serce: była niepewność co do losu Edmunda; to ją doprowadzało do obłądu i do rozpaczliwej, trawionej w sobie, wstrzymywanej przemocą, a potęgującą się z każdą straconą chwilą, która przybliżała ciężący nad głową jego wyrok sądu wojennego.

Tyle tylko dowiedzieć się mogła na razie, że przed tym surowym sądem przyjdzie mu stanąć i odpowiadać za popełnioną winę, a myśl o ostatecznym wyniku sprawy z góry już przesądzonej, napelniała ją grozą i przerażeniem.

— Zgubiony, zgubiony!...—krzyczało w niej jakimś strasznym i rozpaczliwym głosem przecucie, zapowiadające niechybną katastrofę i drugi jakiś głos, jakby sumienia i wyrzutu dodawał:

— Zgubiony przez ciebie!... któż inny, jak nie ty, popchnął go na tę drogę, kto wmał w niego wielką misę, kto wplątywał go tak gorliwie w tajne roboty partyjne i wszczepiał w tę młodą, wrażliwą, świeżą duszę idee przewrotowe?... Stało się, czego chciałaś, do czego dążyłaś, zrobiłaś z niego bohatera i ofiarę!... jeżeli teraz przyjdzie mu nałożyć głowę i życiem zapłacić, to twoje dzieło.

I wtedy wyło jej serce w piersi szarpanej bólem i poczuciem bezradności, że nie może go uratować od zguby, nie może znaleźć środka pomocy dla niego.

— To ty go skazałaś na śmierć wcześniej, aniżeli sądy i sprawiedliwość,— wyrzuciła jej bezlitośnie ten sam głos tajemniczy,— ty zmarnowałaś to młode życie,—ty, która chciałaś zachować go dla siebie i samolubnie pociągałaś go za sobą, jak kusicielka!... Nie kłam, nie udawaj sama przed sobą, że czyniłaś to dla wyższych celów, dla idei, dla sprawy publicznej,—bo to nie prawda. Kochałaś go, a wstyd ci było przyznać się do spóźnionej miłości, więc swego Sokolika opętałaś niby ideą, niby wzniosłymi hasłami

moszek, jeżeli Wyspiańskiego nie rozumiano, ani doceniano nawet w sferach naszych specyficznym ciekawych literatów warszawskich, którzy nauczywszy się przeróżnych metod rytmotwórstwa po 10, 15, 20 kop. od wiersza, dawno przestali obcować w krainach duchów wielkich, wynajdujących pierwiastki wszechbytu i wszechmyśli ludzkiej.

Ci nasi „znani“ i rzekomo „uznawani“ poeci warszawscy, szukają w Wyspiańskim fabuły historycznej, „wdzięku“, „koloru“ i „formy“, ale przechodzą tylko obok Wyspiańskiego, leniąc się zajrzeć do jego głębin filozoficznych, do tych podstaw twórczości, które stanowią o wieczności utworów, wyszłych z pod pióra genialnego.

Smutno się robi w duszy, bunt jakiś rodzi się, żądza protestu powstaje przeciw tym wszystkim płyciutkim wielkościom naszym, niedoceniającym należycie geniuszu mistrzowskiego, równającego się przecież poziomem z trójką wybranych piewców: „Pana Tadeusza“, „Przedświtu“ i „Króla-Ducha.“

Artystyczny, naukowy, mający wielką kul-

ture umysłową Kraków, uczcił należycie hetmańskim pogrzebem wielkiego mistrza pióra polskiego. Ale my, w Warszawie? „Publiczność“ warszawska więcej interesowała się panią Wyspiańską (jak też była ubrana ta córka ludu na pogrzebie męża? cha, czyż pytanie mało ciekawe?), więcej też dla chęci darmowego usłyszenia śpiewów opery i orkiestry Filharmonii, niż dla złożenia czci poecie powędrowały tysięczne zastępy na nabożeństwo żałobne do kościoła św. Krzyża. Czyż temu kto zaprzeczyć zdoła, że było inaczej? Czy spostrzeżenia same nie rzucały się w oczy?

W Królestwie stale nie umiano należycie ani odczuć, ani zrozumieć poety. Nie jestem nieskłonny głównej tu winy przypisać naszym stosunkom cenzuralnym, które nie dopuszczały utworów Wyspiańskiego na scenę. Tamowały popularyzację jego dramatów. Ale literaci nasi warszawscy? Nie będę mówił o duchach silnych, ci jednak nasi przeciętni, naprzykrzający się publiczności peryodycznie swoimi utworami, ci nowsi, głośniejsi może w kraju od samego Wyspiańskiego, literaci,

poeci, krytycy, cóż ci mówią i myślą o zmarłym artyście pisarzu?

Oni wstydzą się jeszcze wydrukować, ale po kątach redakcyjnych, do swoich kolegów po piórze nie wahają się wymówić, że sława Wyspiańskiego za 2—3 miesiące utonie w niepamięci narodu. Wam, czytelnikom, oni tego jeszcze nie mówią, ale niedługo powiedzieć się może ośmielać, że Wyspiańskiego naród przesławił, przecenił, przeszacował!

A wtedy cóż warte będą dzisiejsze hołdy światowe, składane przez cyklistów, łyżwiarzy, wioślarzy i atletów?! Jakżeż śmieszna wyda się maskarada najczęściej nieszczerych depesz warszawskich, skoro poczytne dzienniki obwieszczą gotującą się już kampanię przeciwko wyniesieniu po nad poziomy przeciętności utworów autora „Cyda“, „Skalki“, „Lewela!“

Biedny naród, którego przewodnicy duchowi idą i inaczej iść nie umieją, jak na ognie myśli twórczej. Przewodnicy, którzy nie wyrosli po nad linię przeciętności, do tej linii sprowadzić chcący ducha wyniosłego, wielkiego, nieśmiertelnego.



posłannictwa i poświęcenia dla sprawy społecznej, a po prawdzie chciałaś go mieć przy sobie tylko, chciałaś go zazdrośnie odciągnąć od wszystkiego, co ci mogło zabrać twoje bożyszcze prawem młodości, prawem serca, prawem natury!... Dzisiaj za jego ocalenie gotowabyś była oddać to wszystko, co sławiłaś przed nim i czem ludziłaś sama siebie, że to twój wielki, jedyny, uświęcony cel życia. Nie kłam; wmówiłaś w siebie ambicje i dążenia, zasady i przekonania, których nawet dobrze nie rozumiałaś, aby zapelnąć pustkę własnego żywota bez celu, — wmawiałaś w niego, w tę podatną, plastyczną naturę to samo, aby się z nim czemkolwiek zespolić i związać, aby zrobić z niego towarzysza, nie tyle partyi, ile własnej egzystencji!... Przyznaj się, że popełniłaś podłość, a teraz popełniłaś i zbrodnię!

Jakaś niewidzialna, okrutna ręka rozdzielała jej duszę i odsłaniała po raz pierwszy przed nią własne jej wnętrze.

I ta świadomość winy, popełnianej instynktownie, bezmyślnie, odruchowo, sprawiała jej teraz właśnie tak wielką katuszę i jak zębątem kołem gniotła jej umysł i serce.

Przejrzała i wzdrygnęła się...

Ale przejrzała, niestety — za późno.

Do zniesienia tych konsekwencji zabrakło jej dostatecznej siły i rezygnacji, którą może dać tylko głębokie, szczere, prawdziwe umiłowanie jakiejś idei, przejęcie się jej wielkością, bohaterska gotowość poświęcenia się na największe ryzyko, — i dlatego czuła się tak starganą i rozbitą w sobie, tak bezradną i tak marną na duchu.

Wysilając nadarmo umysł nad wynalezieniem jakiegokolwiek środka ratunku dla Edmunda, udała się do pani Biffer z zapytaniem, czy za jej pośrednictwem nie byłoby możliwym uzyskać jakiej protekcji do Marajewa.

Madame Euphrosine przyjęła ją z wiel-

kiem współczuciem pozornie, ale i z widocznym zakłopotaniem.

— Ach, łaskawa pani nie uwierzy nawet, jak ubolewam nad losem tego sympatycznego młodzieńca! — zapewniała Sewerkę, przechylając głowę i lypiąc grubymi powiekami dla wydobycia choć jednej prawdziwej łzy; — ja przecież miałam przyjemność osobiście poznać pana Sokolika, pamięta pani?... w tej sprawie z pe-pe-esami. Ale nie mówmy lepiej o tem! Tak, to okropne!... właśnie mówiliśmy o tem z panną Miszettą i z duszy, serca, chciałybyśmy coś zrobić dla tego nieszczęśliwego, lecz to sprawa tak drażliwa, tak niebezpieczna nawet, że trzeba by dużo zaryzykować, mieszając się do niej dobrowolnie. Łaskawa pani przecież rozumie, że nikt nie zechce kłaść zdrową głowę pod Ewangelię, *n'est ce pas?*

Wstęchnęła i przymknęła oczy, szepcząc boleśnie:

— To straszne, to okropne!...

Ale, po chwili, ożywiając się nagle, spytała:

— A łaskawa pani wie, że ojciec pana Sokolika, pan Lebicki pracuje u mnie już od kilku tygodni?... Ach, nie słyszała pani o tem?... zapewne, bo to rzecz dyskrecyi. Tak, ofiarowałam panu Lebickiemu w moim magazynie... tymczasowo co prawda, miejsce korespondenta w zastępstwie mego brata, który musiał wyjechać na kurację. Człowiek z takimi kwalifikacyami i także przez los prześladowany!... Teraz jeszcze ta sprawa z synem... ach, to straszne! Myślałyśmy z panną Miszettą, że to życiem przyplaci, *je vous assure.*

Miała ochotę rozpalać się o swoim szlachetnym uczynku i pochwalić przed Sewerką z dobrego serca, które jej kazało dać kawałek chleba i zajęcie człowiekowi takiemu, jak szanowny pan Lebicki, lecz zauważywszy wyraz twarzy Strzałkówny, urwała nagle, pytając z czułością:

— Ale łaskawa pani musi być cierpiącą?

tak się pani zmienia!... czy nie można służyć pani szklanką wody?... Mademoiselle Michette!

Sewerka jednak ocknęła się i nie skinąwszy jej nawet głową, jak obłąkana, wyszła z magazynu.

Zawiodła ją i tu nadzieja zrobienia czegokolwiek dla ulżenia losu Edmunda.

Pani Biffer zaś odetchnęła swobodniej po jej wyjściu; miała i tak dosyć kłopotu ze starym Lebickim, któremu na usilne prośby panny Miszetty, a jeszcze bardziej za protekcją jej opiekuna, dyrektora banku, dała u siebie skromną posadę, nie przypuszczając, że przyjdzie jej w krótkim czasie pożalować tego.

Ojciec przestępcy politycznego, szaleńca, który osmielił się brać udział w zamachu na małżonka jednej z najpoważniejszych klientek pani Eufrozyny, stawał się przecież osobą kompromitującą magazyn, cieszący się dotąd, mimo wszystko, nieposzlakowaną opinią władzy!...

Stary Lebicki w swoim przekonaniu uważał się za najniezwyklejszą ofiarę losu, który go jednym zamachem strącił z wyżyny w bezdenną przepaść, i to właśnie w chwili, kiedy odzyskiwał równowagę, kiedy udało mu się wypływać powoli, kiedy zaczynała mu się przyszłość uśmiechać.

Przyjaźń i życzliwość panny Miszetty stała się dla niego, opuszczonego samotnika, rozbitka, ojca niegodnych i niewdzięcznych dzieci, prawdziwą osłodą i podporą jego życia

— Misiu — mawiał już do niej, — zastępujesz mi moją Rozalkę!... jesteś dla mnie córką, kocham cię.

Ta myśl, że znalazł niespodzianie serce tak sobie oddane, odmłodziła go; zgoilił brodę, pozostawiając tylko wąsy i muszkę, które zlekka, nieznacznie ciemniały pod szczoteczką od tuszu i nadawały mu wygląd odświeżonego *galanthomme'a*.

Zajęcie w magazynie pani Eufrozyny przypadało mu do smaku, czuł się pożytecznym,

Przeciwko Wyspiańskiemu gotuje się kampania reakcyjna. To też posmutnieć musi wesele, które wypełniało doraźnie dusze nasze młode na widok dorywczych hołdów składanych wieszczowi polskiemu!

Teatralia jednak szybko minęła. Na jaw występuje rzeczywistość. Smutna rzeczywistość płytkości umysłów społeczeństwa naszego. Niewola długoletnia nie tylko znieprawiała snąc dusze nasze, ale zabiła razem i rozwoj komórek myśli narodowej.

To też do buntu jakiegoś rwą się serca całej najmłodszej literatury polskiej. I zapowiada się bój jakiś nowy między młodymi i starymi prądami literackimi. Bój, który pobudziła śmierć Wyspiańskiego, bój, który przynieść może nowe piśmiennicze żniwo.

W duszach młodych nie odczytacie dziś zwykłej wesołości, lecz targanie się jakieś.

Ani się obejrzeć, kiedy za tydzień, dwa, może za miesiąc trąby bojowe literatów zagrzmią. Odezwie się pobudka jedna, druga, a historyk literatury zanotuje nowy okres w dziejach piśmiennictwa polskiego.

Na to nie trzeba być prorokiem, lecz tylko patrzeć skrzętnie i zorientować się, że śmierć Wyspiańskiego gotuje nowy, wielki ruch literacki w Polsce.

W obozach młodych coś wre i kipi. I to jest właśnie najznamienniejszym dziś objawem doby obecnej.

Stefan Gorski.

P. S. Już po napisaniu tego feljetonu, dostaje mi się do ręki najświeższy (366-ty) numer „Nowej Gazety“, w której korespondent kaliski zda się całkowicie potwierdzać moją opinię o niepopularności Wyspiańskiego w Królestwie Polskim.

Korespondent z Kalisza pisze: „Jak wszędzie zapewne na prowincyi, tak i tutaj, wiadomość o śmierci Stanisława Wyspiańskiego, na jednostkach zrobiła tylko wrażenie. Pierwsi artyści naszego teatru pospieszyli zamianować te uczucia i już we wtorek (naza jutrz po pogrzebie), dali w teatrze wspaniałe przedstawienie. Odegrano „Wesele“, traktowane z wysokim poczuciem i przejęciem się artystycznym, a poprzedzone fragmentami

z „Bolesława Śmiałego“ i „Kazimierza Wielkiego“, wypowiedzianymi przez artystów Rychnowskiego i K. Zawadzka. Artyści nasi byli tak przejęci grą, tak przejęci tem, co wygłaszają, że nie mroziła ich przerażająca pustka sali teatralnej. Tak bowiem prowincya odczuwa i rozumie naszych geniuszów. Gdy dwa dni z rzędu przedtem dawano niską płaską farsę, teatr był zapełniony, nie brakło i okolicznego obywatelstwa, ale „Wesele“ Wyspiańskiego nie pociągnęło nikogo z tych co widać tylko z pospolitą powszedniością sympatyzują.“

Nie przeszkadzało to zkadnąd wysłaniu z Kalisza „depeszy gratulacyjnej“ do Rady miejskiej w Krakowie, z wyrażeniem żalu przez grono kobiet z powodu zgonu autora „Wesela.“

Ogół nasz jednak nie umiał należycie odczuć straty, jaką poniósł naród polski.

S. G.





J. OKSZA.

## Nasz ideał kobiecy w najnowszej literaturze.

(Ciąg dalszy).

potrzebnym, nawet niezbędnym, po za korespondencją handlową, mówił przecie po francuzku z akcentem urodzonego Paryżanina, a maniery wielkoświatowe starego „frotera salonów,” jak się sam przeważał, pomagały mu do „szarmowania” klientek pani Biffer, wzywającej coraz częściej pana Lebickiego do konferencji w rzeczach mody, jako znawcę, pełnego smaku i galanterii, jako bywalca po szerokim świecie i w swoim rodzaju Petroniusza w zakresie elegancji.

Papa uczuł się nagle we właściwym żywiole i od dawnego czasu po raz pierwszy zaczynał się czuć szczęśliwym!...

I w takiej chwili właśnie rodzony syn zdruzgotał haniebnym czynem całą egzystencję ojca, zatrul mu spokój, znieślił jego nazwisko; a co najgorsza, postawił go w tak okropnej kolizji, w tak dramatycznym świetle, w takiej sytuacji bez wyjścia.

Zmarnowany dyletant życia znalazł się z winy wyrodka w pozycji tragikomicznej.

— Wszystko mu wybaczę—jękliwym, bolesnym głosem skarżył się przed jedyną przyjaciółką swoją, — wszystko zapomnę, ale tego, że nie pamiętał o własnym ojcu w takiej chwili — nigdy!... Oh, *jamais, jamais!*

I rozplakał się na prawdę.

(Ciąg dalszy nastąpi).



### Idę przed siebie.



Idę przed siebie coraz dalej

Po przez cierniste szczęścia ścieże,

Choć w powrót szczęścia już nie wierzę,

Choć wiem, że nigdy dla mnie w dali

Jasna się zorza nie zapali,—

Ja idę dalej.

Idę przed siebie, wciąż przed siebie,

Choć wiem, że biednej duszy mojej

Żadna już siła nie ukoi

I żadna moc nie rozkołobie

I nie wydzwignie jej w podniebie,—

Idę przed siebie.

### SZUKAŁEM...



Szukałem w pośród gwiazd zamieci,

Szukałem w górze na błękitcie,

Tej gwiazdy, która dla mnie świeci,

By mi wyzłocić szare życie

I wypromienić dolę ciemną,

Ale napróżno i daremno!

I tu szukałem na padole

Kogoś, co byłby gwiazdą dla mnie,

Ktoby podzielił moją dolę

I kochał duszę mą niekłamnie

I zawsze przy mnie był i ze mną,

Ale napróżno i daremno!

Zygmunt Różycki.

Bohaterka „Księżca” jest kobietą całkowicie wyzuta z przesądów, nie uznającą żadnych zasad tak zwanej moralności, tego przeżytku dawnych wieków, kiedy ludzie nie byli tak imponująco inteligentni i tak niesłychanie wytworni, jak ona, pani Ala, oraz jej rówieśnice z „Lodowych pól.”

Natomiast jest bardzo krytyczna i świadomie sobą zajęta. „Kocham ogromnie wszystkie swoje zalety, ale nieskończenie więcej swoje wady. Jestem próżna i pretensjonalna bez granic. Zarozumiała jestem i nie potrafię zachwycać się szczerze nikim, po za sobą. Nie jestem zazdrosna, lecz jestem zawistna i to drugie gorsze. Zazdrość jest przejawem czysto biologicznej natury. W zawisci zaś jest coś, co poniża piękność duszy, wciąga ją w grę pasji małych i głupich. Nie lubię kobiet piękniejszych ode mnie, choćby zupełnie nie wchodziły mi w drogę. Myśl, że nie jestem najpiękniejsza, wprost zatruwa mi życie. Następnie, jestem zmysłowa bardzo, i to nie w sposób ładny, żywiołowo, młodzieńczo. Zmysłowość moja jest sztuczna, abstrakcyjna nie szukająca wyrazu w życiu.” „Największym pragnieniem mem jest, by linia przeprowadzona przez moje życie była równie wytworna, jak linia mych bioder.”

Ta „estetyka,” nieco zmanierowana w swym zachwycie nad własną osobą i w sposobie zachowania, ma jednak istotnie inteligencję głęboką i bogactwo natury bujne i zdolność do prawdziwego uczucia, więc przerasta całą falangę modernistycznych pozerek, które, żywiąc te same pretensje, nie mają nic na ich usprawiedliwienie.

Co do małżeństwa, ma pani Ala zupełnie „filozoficzną,” zupełnie „moderną” teorię: że wyszła za mąż bez miłości, że żyła z człowiekiem, którego przyjemną płytkość złośliwie opisuje, że się z nim równie konwenansowo rozstała — to jej nigdy na chwilę nie bolało, to nie stanowiło wcale w jej życiu nietylko „historii,” ale nawet momentu.

Bo nieprawda, „czyż to nie wszystko jedno” — mówi p. Obojańska, — „czy mój mąż jest żywy, czy umarły, czy jest człowiekiem, czy sosną, czy wydzielony jest z przestrzeni pomarszczoną skórą, czy korą, czy sierścią, czy safianem? Cóż mnie to może obchodzić — niech pani tylko sama pomyśli!” Dla tych kobiet nowej formacji, „małżeństwo” jest stanem, do pewnego stopnia obowiązującym, ze względu na światową pozycję, ale zupełnie obojętnym wewnątrz, pozbawionym wszelkiej zasady ideowej, wszelkiej życiowej spójni, prócz najpowierzchniej pojętego interesu materialnego: cała wartość, całe szczęście i nieszczęście życia, wszystkie tryumfy i zawody miłości i ambicyi są właśnie absolutnie po za małżeństwem.

Pojęcie to, wprowadzone w życie przez

wielu mężczyzn — dotąd prawie niedostępne było dla kobiet w takiej szczerości, z taką premedytacją w założeniu: bywały często bardzo wypadki inne, że młodzianka dziewczyna, bierna, życia nie znająca, nie rozwinięta uczuciowo, nie rozbudzona sensualnie, wychodziła za mąż za pierwszego lepszego konkurenta, i zrazu zadowolona, w lat kilka uciuwała dopiero ciężar więzów, na życie całe założonych, wtedy, gdy pierwsze, namiętne uczucie poruszyło jej serce, lub gdy w łalce zbudziła się dusza, pragnąca własnego życia i własnej drogi do ideału: historia Ibsenowskiej „Nory.”

Dla kobiety, wychowanej w pojęciach pani Ali i pani Obojańskiej, niema tragedii „rodzinnego ogniska” — nie ma tragedii opuszczonych przez matkę dzieci, z tej racji, iż dzieci się nie miewa. „Eve nouvelle” bywa rozsądna i przezorna; po za tem umie grać z mężczyzną pod względem egoizmu o lepsze — i dlatego nie da się wyzyskiwać.

Tak uzbrojona w swój chłód, w swą „wytworność” i w swą inteligencję, pani Alicya, próżnująca w dostatku żona nowożytnego eksploratora Syberyjskiego, zbierającego plony powojenne na dalekim Wschodzie — staje wobec podwójnego problemu: romans z Zienowiczem, erotycznej sławy poetą, czy zejście w świat, który ją zaciekawia i ciągnie wielkością swych pragnień i poświęceń, odrębnością i głębią, intensywnością życia w świat, w którym kocha się ideę po nad człowieka, a człowieka miłością taką, „w której jest wyrzeczenie i ofiara.” I piękna pani Ala, porwana entuzjazmem tej wstrząsającej atmosfery rewolucyjnej — rozchodzi się z owym poetą, który, coprawda cofa się sam dziwnie szybko i ostrożnie, i razem z dawną swą nauczycielką, a teraz przyjaciółką Julią, z tych gorących idealistek, co czytają „Don Kichota,” i są w najgorętszej robocie partyjnej, razem z Janem i Teresą, schodzi w głębię potężne, go prądu, zbliża się do ludu — pierwszy raz w życiu styka się z prostotą wielkiego bólu i wielkiego ducha, wreszcie znajduje to, do czego dążyła nieświadomie zawsze, mimo frazesów pozornego chłodu i banalnego wykwintu, prawdziwą, gorącą miłość, w której, poczyną żyć instynktem kobiecym, dla jedynego w życiu, dla kochanka, z którym stosunek przybiera odrazu samą siłą rzeczy formę, na śmierć i życie nierozdzielne małżeństwa, z pełnym pragnieniem macierzyństwa, z całym poczuciem świętości związku. I wtedy, ta sama kobieta, która w przewrotności swych teoryjek na tle filisterskiego małżeństwa, mimo pozornej zgody z kodeksem, była na wskroś zepsuta, intelektualnie rozpustna, a w uczonym flircie ze zmysłowym poetą, pełna kunsztu i wyrachowania — staje się prosta, szczerą, delikatną zdolną do wielkich poświęceń i prawdziwej mocy charakteru.

Kobieta o erotycznym podkładzie jest taką, jaką chce i umie ją zrobić mężczyzna, którego ona kocha: wiele istot pięknych, o szlachetnej organizacji — marnuje się i ginie w popolitości lub „wytworności,” dla braku charakteru, dla braku siły ducha u spotykanych po przez życie mężczyzn.

Dlatego może nie zupełnie słusznie rzucili-



byśmy anatę na te dziwaczne egoistki z najmłodszego pokolenia; byłyby one mniej złe, pogardliwe i w sobie rozmiłowane, gdyby dla swej inteligencji znalazły jakąś silną podparę w ludziach, łączących wielkość duszy i wysokie ambicje z silnym, męzkim charakterem.

Ale wśród bohaterów Włodzim. Perzyńskiego, Srokowskiego, Móraskiego, wśród całej tej rozbitej, wytraconej z kolei pełnego i prawdziwego życia rasy epigonów, musi się zmanierować i zepsuć każda bujniejsza natura kobieca, już przez samo rozgoryczenie wzgardy, jakie w niej budzą ci erotomani bez woli do czynu, a z pretensją do niezwykłości.

Są zresztą te Ofelie przeważnie źle wychowane, „do klasztoru“ nie mają wcale powołania, ani do żadnej pracy społecznej, a ponieważ nie zjawia się najczęściej ów „Książę“ nie tylko z bajki, ale nawet z cytadeli—więc całe życie ocierają się o Zienowiczów, o ile los nie pokieruje trywialniej ich sercowymi przygodami.

A doprawdy wielu z nich—szkoda.

(Dokończenie nastąpi).



## Uniwersytet ludowy w Anglii.



(Dokończenie).

Ponieważ świadectwo kanclerskie posiada niezwykle znaczenie, w dopełniających zatem prawidłach znajdują się wyjaśnienia, jakiego rodzaju przygotowanie niezbędne jest, by wstąpić na kursy nauk humanitarnych.

Szczegółowa uwaga zwrócona jest na to w jakim zakresie i w jaki sposób wykładane winny być powyższe nauki. Wymaganem jest również, by słuchacze przeszli kurs logiki i otrzymywali świadectwo, że zdali egzamin z tego przedmiotu. W ogóle program nauk humanitarnych dosyć jest obszerny i najbardziej zbliżony do wymagań kursów uniwersyteckich.

Historia, literatura i sztuka w okresie starożytnym, średniowiecznym i nowożytnym wykładane są w ten sposób, że dają słuchaczom jasne wyobrażenie o życiu narodów i o siłach, jakie wytworzyły narodowości i społeczeństwa.

Historia rozpatrywana jest nie tylko z punktu politycznego, lecz i z ekonomicznego, przemysłowego i społecznego, cel bowiem wykładu polega na tem, by dać rozległe pojęcie o prawdach społecznych, wykazać wielki łańcuch wypadków i wskazać momenty, określające bieg historii.

Pożądane jest, by kursy logiki wyjaśniały z jednej strony zastosowanie logiki indukcyjnej do rozwoju idei naukowych, z drugiej zaś strony zasady myślenia, przyczem przykłady konkretne wzięte być winny z innych nauk, ażeby słuchacze nauczyli się posługiwać powyższymi zasadami, w celu dowiedzenia oczywistości pewnego stanowiska, oraz wykazania błędów, tak często popełnianych w życiu codziennym.

Kwestya wykładu języków, wchodzących do składu nauk humanitarnych i nadewszystko niezbędnych dla ludzi, studyjących historię i literaturę, traktowana jest dosyć oryginalnie, przynajmniej w prawidłach, dotyczących egzaminu na świadectwo kanclerskie.

Powiedziane w nich jest, co następuje: na egzaminie z powyższych kursów może być dana słuchaczom sposobność do wykazania umiejętności innego języka, oprócz angielskiego, za pośrednictwem tłumaczenia *à livre ouvert*, lub komentowania z książek cudzoziemskich, mających związek z przedmiotem wykładów. I choć umiejętność ta nie jest obowiązującą, powodzenie jednak pod tym względem brane jest pod uwagę przy wydawaniu świadectw z pochwałą (*of merit*) i świadectwa ze specjalnem odznaczeniem (*of special distinction*). W praktyce zresztą kwestya języków rozstrzygana bywa w sposób bardziej stanowczy, — mianowicie istnieją specjalne kursy i lekcye tych przedmiotów. Towarzystwo rozpowszechniania uniwersytetu w Londynie zorganizowało kursy języka francuskiego, a nawet greckiego, na które w roku 1904/5-ty uczęszczało 4-ch słuchaczy.

Oprócz wyżej wymienionych, zorganizowano jeszcze kursy dla nauczycieli ludowych. Kursy te wywołane zostały w Anglii koniecznością: rząd bowiem angielski nie wiele dba tak o szkoły ludowe, jako też i o przygotowanie pedagogiczne ludowych nauczycieli. Klasy nauczycielskie (*tutorial classes*), stanowią zazwyczaj uzupełnienie wykładów i klas na uniwersytecie ludowym, za specjalnem jednak zezwoleniem mogą być również organizowane samoistnie. Jeżeli klasa nauczycielska jest uzupełnieniem wykładów, to można studyować tam przedmiot wykładów, z jakimi jest w związku owa klasa, lub jakiś przedmiot, pozostający w prostym stosunku do niej. Jeżeli słuchacz pragnie, by zajęcia jego w klasie nauczycielskiej brane były pod uwagę, to powinien wykonywać ćwiczenia piśmienne i przedstawiać je regularnie nauczycielowi, który prowadzi klasę. Na egzaminie z kursu wykładów, z którymi w związku pozostaje klasa nauczycielska, zadają jedno, lub kilka pytań z zakresu specjalności nauczycielskiej (to jest pedagogii), specjalnemu jednak egzaminowi nauczyciele ludowi nie podlegają.

Początkowo wielka ilość rozmaitych egzaminów i świadectw surową wywołała krytykę nowych kursów. Zarzucano, iż egzaminy, to do pewnego stopnia, tresura uczestników, która daje w rezultacie powierzchowne wykształcenie: że w przeciągu dwóch lub trzech lat nie można zdobyć takiej wiedzy i takiego rozwoju umysłowego, jaki jest wynikiem dłuższej i systematycznej nauki; że wiedza, nagromadzona w przeciągu krótkiego czasu, nie jest trwałą i nie może iść w porównanie z prawdziwym rozwojem, zdobywanym za pośrednictwem ciągłych studyów. Przedewszystkiem zaś powstawano przeciwko egzaminowi w celu uzyskania wstępu na uniwersytet i przywileju korzystania ze stopni uniwersyteckich. Przeciwnicy kursów nazywali je pogardliwie maszyną egzaminacyjną, obmyślaną w celu, by dostarczyć zajęcia cierpiącym zawsze biedę docentom i magistrum uniwersytetu. Kry-

tyka powyższa zawierała niewątpliwie pewną część prawdy, lecz tylko pewną — pod tym mianowicie względem, że wielu uczyło się jedynie dla uzyskania świadectwa, dającego pewne prawa. niesprawiedliwy jednak był zarzut, iż kursy stanowią tresurę dla uczących się, i że roszczą pretensje do zastąpienia prawdziwych kursów uniwersyteckich. Organizatorowie nowych kursów łatwo mogli usprawiedliwić się z przytoczonych wyżej zarzutów, powołując się na pobudki, jakie skłoniły ich do zorganizowania wykładów, wskazując następnie na organizację kursów, podkreślając w końcu rezultaty, jakie one wydały. Pobudki, jakimi kierowali się organizatorowie, polegały na tem, by podnieść umysłowy i moralny poziom mas ludowych, zwłaszcza zaś młodego pokolenia obu płci, które po ukończeniu szkół niższych, zmuszone było przez warunki do oddania się fachowi praktycznemu i nie miało możności kształcić się wyżej.

W celu popierania stałej i systematycznej nauki, uniwersytet w Cambridge uzyskał przywilej afiliacji (*privilege of affiliation*) dla centralnych kursów *University Extension*. Przywilej powyższy polega na tem, że słuchacze, którzy w przeciągu lat trzech ukończyli kursy w centrum, objętem afiliacją i zdali egzamin łącznie z uzupełniającym egzaminem z języków starożytnych i matematyki, przyjęci zostają do uniwersytetu bez egzaminu i zyskują pewne ulgi, mianowicie dopuszczeni są do egzaminu na stopnie uniwersyteckie, po upływie lat dwóch, a nie trzech.

Z ogólnej liczby słuchaczy uniwersytetu ludowego około 20% jest w tym stopniu przygotowanych i zdolnych, że poświęcają się gruntowniejszym i bardziej szczegółowym studyom.

Brak miejsca nie pozwala tu przytoczyć danych statystycznych, będących najwymowniejszem świadectwem, iż uniwersytet ludowy jest istotną potrzebą kraju, który najpierwszy dał inicjatywę kursom ludowym.

Eugenia Żypowska.



## „Szkoła.“

Sztuka w 4-ach aktach Z. Kaweckiego.



Przed czterema laty wystawił Teatr miejski we Lwowie sztukę p. Zygmunta Kaweckiego p. t. „Dramat Kaliny.“ Ten „dramat.“ który był naturalistyczną komedią obyczajową, gorąco przyjęty w swem rodzinnem mieście, nie powiódł się w Warszawie. Dlaczego doszedł do pełni sukcesu teatralnego we Lwowie, a zawiódł nadzieje autora w Warszawie, nie umiałbym powiedzieć, gdyż nie miałem sposobności poznania tej pierwszej sztuki p. Kaweckiego ze sceny, a tylko z książki. Myślę, iż względy na koloryt miejscowy mogą sztuce wiele pomódz, lecz nie stworzą samej sztuki; powtóre, że dobra sztuka, choćby osnuta na czysto miejscowych motywach, znajdzie uznanie wszędzie i wszędzie będzie zrozumiana i odczuta.

Z czytania „Dramatu Kaliny“ zachowałem wrażenie, iż jego autor miał wszelkie prawo wprowadzić swą pierwocinę na deski sce-



niczne, legitymując się zielonym wprawdzie i nieogładzonym, lecz sporym i zdecydowanym talentem dramatopisarzkim. Pewność tę miałem i zatrzymałem mimo niechętnego wrażenia małosmacznych scen naturalistycznych epizodów, mimo małej podniosłości artystycznych pierwiastków „bohaterów“ (od braku jakiegokolwiek bohaterstwa) tej sztuki. Dla mnie, subiektywnie, „Dramat Kaliny“ jest „skandalem w 3-ach aktach“, obiektywnie jednak, dla krytyka, jest prawdziwym życiem, ujętym w ramy komedyowości i sceniczności, ujętym sprawnie i trafnie, choć niezbyt estetycznie, ani artystycznie.

Więc znaczy: p. Kawecki ma talent — spodziewajmy się, że napisze *sztukę*.

W ciągu paru lat po „Dramacie Kaliny“ pisze p. Kawecki nowele, szkice, o większej i mniejszej wartości, znamionujące temperament pisarski, i ciągle jeszcze nie dość uświadomione poczucie swej sztuki.

W ubiegłym roku wystawia w Krakowie dramat p. t. „Pająk“, który u krytyki i publiczności znajduje jak najnieprzychylniejsze przyjęcie.

Los tej sztuki od chwili poczęcia, aż do wystawienia, był dziwnie niefortunny: i temat, i sposób ujęcia, i uczucie, i psychologia nowe, oryginalne, trafnie odczute; poziom estetyczny znacznie wyższy, aniżeli w „Dramacie Kaliny“ — a jednak zgodnie wszyscy i wszystko złączyło się, aby ta sztuka utonąła w zapomnieniu teatralnej fali.

Wyobrażam sobie, jak przykro było autorowi po małym powodzeniu w „Rozmaitościach“ przeżyć tę wtórą porażkę w Krakowie, który więcej aniżeli jakiegokolwiek inne miasto mógł zrozumieć „Pajaka“, komedię z życia dzisiejszej bohemy i studenteryi „zneuromantyzowanej“. I znowu wrażenie moje subiektywne, a biegunowo odmienne, niż po przeczytaniu „Dramatu Kaliny“, oto — p. Zygmunt Kawecki, autor „Pajaka“, ma talent i to talent artystyczny, estetyczny, duży, młody i silny i napewno wypowie się pełnym wyrazem.

Znamiennem dla psychologii autora „Dramatu Kaliny“ i „Pajaka“ jest, iż motywem jego sztuki jest stale element z życia i sfer doskonale mu znanych; że bajka utworów była osobiście przeżyta, że autor sam brał bezpośredni, osobisty udział w życiu, które przetwarza.

Bez niedyskrecyi (ponieważ autor zgodził się być, aby odtwarzający Kalinę aktor (p. Kamiński) — wystąpił w masce Kaweckiego), wypada zaznaczyć egotyzm tej sztuki, posunięty aż do granic biograficznej anegdoty; urodzony dramatyk miał zaiste sposobność wyjątkowo bezpośredniej obserwacji swego materiału pisarskiego — i skorzystał z niego z tą zawsze i mimo wszystko, ujmującą szczerością i otwartością poetyckiej wiary, iż nie masz cenniejszych spraw nad sprawę tworzenia; że sztuce należy oddać się i wszystko najbardziej, choćby najtajniej swoje.

P. Kawecki pisząc „Kalinę“, był „u siebie w domu“. Tak samo „u siebie w knajpie“ był pisząc „Pajaka“, „zżyty z wczorajsza“, a może jeszcze dzisiejszą studencką cyganeryą krakowską, dał sceniczny wyraz swoim obserwacjom i przeżyciom nihilistycznie, mesyanicznie, mistycznie, spirytystycznie, subiektywistycznie à rebours satanistycznie, samobójczo i autoapoteistycznie nastrojonych nastrojów, w czyszcowej mecie szukających siebie i swojego świata.

Poraz drugi sięgnął po to, co było jego niezaprzeczną artystyczną własnością; mówił o tem, co poznał i przeżył.

Więc mimo pospolitych plotek, iż talent Kaweckiego zgasł zanim wystrzelił, jak zmočila raca, wierzyłem, iż autor „Dramatu Kaliny“ jest na właściwej drodze i że dojdzie do swego celu, że wypowie pełne słowo ta-

lentu głośno, dobitnie i że znajdzie trwałe posłuch.

Tak stało się; tem pierwszym słowem, którym p. Kawecki z przedsonka sztuki, jakim jest „być na repertuarze polskich scen“, otworzył sobie pałac sztuki i literatury dramatycznej, odezwała się z tak dużym powodzeniem grana, jego „Szkoła“.

Od dwóch lat z górą jest p. Kawecki nauczycielem w jednym z gimnazjów krakowskich; urodzony realista, obserwator obdarzony gorącym sercem i tem cennem: „nie ludzkiego nie zdaje mi się być obcem“, z trudów życia, które literatowi i artyście kazało zostać „dzieciowodem“ („kogo bogowie przekleli, tego pedagogiem zrobili“), umiał salwować swój talent i nie tylko salwować!

Powiodło się Kaweckiemu z tego, co innych zatrąło, uczynić napój życia i twórczości dramatycznej, udało mu się wzbogacić młodą literaturę nowem dziełem, a siebie postawić w szeregu tych, na których się liczy i z którymi się liczyć należy.

Polska komedia i dramat zyskały w p. Kaweckim nową, czynną jednostkę. W obie strony powinszowanie i powitanie.

Przedmiotem tej sztuki nowej, bajka, pomysłem i estetycznymi środkami wykonania, nie człowiek jest, nie indywidualium, charakter i jego kolizye, lecz *jednostka zorganizowana*, instytucja, przedstawiona w syntetycznej miniaturze.

P. Kawecki dał nam, w komedyowem scenicznym streszczeniu, galicyjską szkołę i jej życie, to wszystko, co stanowi jej życie. A więc: „stancja“, „pauza“, „godzina“, „wykład“, „pytanie“, „zajście z profesorem“, „straszna awantura“, „miłość“, „dom i rodzina“, „mama poszła na konferencyę“, „konferencya“ i „musiał go przeprosić!“

J. A. Kisielewski.

(Dokończenie nastąpi).



## Z listów do „Bluszczu.“



Paryż, w Listopadzie.

Pozwolicie, szanowne czytelniczki, że skreślę wam wiązaną luźnych wrażeń z grodu, który za godło swoje jeszcze za czasów prastarej Lutecyi przyjął „Fluetuae nee mergitur.“

„Chwieje się, leci, nie idzie na dno!“

Prawda, jakie to isticie ludzkie hasło?..

Gródek rybaków, prastara Lutecya, maleńka była i ubożuchna, zajmowała tylko wysepkę między dwoma ramionami Sekwany, zwaną dziś „la Cité“, to też Lutecya po celtycku znaczy „mieszkanie wpośród wód.“

A dziś... milionowy olbrzym, dusza świata... dlaczego Lutecya tak wzrosła i rozwinęła się pysznie?.. Czy nie dla tej przyczyny właśnie. iż... „chwiała się.“

Co to bowiem znaczy „chwiać się?“, to mieć subtelną giętkość ducha, odczuwającego z potęgą wielką wszystkie zjawiska bytu, z mocą reagującego na nie..

Więc też Paryż reagował i szedł naprzód!..

Pierwsze wrażenie po przyjeździe do Paryża, to przykre rozczarowanie.

Przyjeżdżając się przeważnie w nocy i przejeżdżając szeregi ulic, mimowoli powtarza się:

— Ależ Paryż jest ciemny!

Na drugi dzień po przyjeździe tutaj, byłam przymuszona dodać mu i drugi niepocholeby epitet:

— Ależ Paryż jest brudny!

Stosownie do polecenia „Guide'a“, przeszłam wielkie bulwary i bynajmniej zachwyconą nie byłam,

Ruch — bo ruch! Straszny wprost przy przejściach! Jak się rozpaczliwie czeka, ażeby „sergent de ville“ podniósł swą laseczkę w górę, na znak, że wszelkie wehikuly zatrzymać się powinny na chwilę, jak się spieszy przejść na drugą stronę ulicy.

Imponujący jest ten nadmiar życia, ale nie jest piękny.

I dla mnie osobiście wstrętne jest to, że Paryż robi wrażenie ogromnego kramu.

Wszędzie po ulicach, nawet pierwszorzędnym, wystawione stoły, a na nich to samo, co w sklepie. I jak się ci biedacy mordują codziennie, z rana rozkładając towar, a wieczorem go zabierając, strach pomyśleć!

— Ten cały Paryż, to jakieś wielkie hale! — myślałam sobie.

Mieszkam blisko Luwru, więc też trzeciego dnia przeszedłszy ulicę Sekwany przez most, znalazłam się w Luwrze i..

— Ależ Paryż jest cudny! — musiałam przyznać.

Stałam wpośród wielkiego placu ze wszystkich stron otoczonego pysznymi budowlami. To stary Luwr!

Pozwolicie, że dzisiaj nie wejdziemy do środka, pozwolicie, iż dzisiaj żadnych historycznych danych nie przytoczę... idę dalej... znów olbrzymi dziedziniec, ale już tylko z trzech stron otoczony pysznymi gmachami nowego Luwru..

W środku placu pełen zieleni, a w nim jakiś biały sarkofag... Nie, to może kapliczka. Podchodzę — to pomnik Lafayette'a.

Staję i czytam:

„Wzniesiony przez uczniów szkół Stanów Zjednoczonych na wdzięczną pamiątkę dla uczonoego Lafayette'a, męża stanu, bojownika, potryoty.“

A poniżej:

„Hold stowarzyszenia narodowego cór rewolucyi amerykańskiej — Lafayette'owi, przyjacielowi Ameryki, towarzyszu Washingtona, bojownikowi i patryocie — *de deux Patries*.“

Dusza mi rośnie... Przyglądam się wokoło. Jaki cudny ten nowy Luwr, dzieło Visconti'ego i Lefuel'a... Spozrzegam w wnękach mnóstwo grup alegorycznych. Nie zatrzymuję się. Idę dalej.

Znów placu odrzewiony, złożonemi kratami otoczony. Widzę jakiś wielki pomnik. Co to?..

Kształt jak gdyby obeliska, szeroko bardzo ściętego, granit szary, przeświecający jaśniejszymi smugami.

U podnóża dwie młodzieńcze postacie, rycerza i pracownika, jak to widać po kilofie, obok leżącym, podają sobie dłonie.

U góry: Fraternité,  
A Grenoble 1872 a.

„Wszystko zwiastuje zjawienie się w polityce nowej warstwy społecznej, która być może, nie jest wcale niższą od tych, co ją poprzedziły. Rzeczpospolita nasza, licząca w swych kadrach tyleż ofiar, co sług, kierując się szerokim poglądem społecznym, pragnie połączyć pod swym sztandarem wszystkie warstwy ludności, ażeby stać się rzeczywistie wyrazem większości narodu.“

Z drugiej strony „Liberté“ 1880 a.  
A Cherbourg.

„Potężny postęp może być wynikiem dobrych praw i stanie się naszym, lub dzieci naszych udziałem.“

Czynią nam zarzut, że pielęgnujemy kult namiętny dla armii, która przecież nie jest kastą w sobie zamkniętą, lecz wyobraża sobą najszlachetniejsze soki narodu.

Lecz to nie duch wojowniczy kult ten nam dyktuje, lecz konieczność, wywołana widokiem Francyi, co już tak nisko upadła — konieczność podniesienia jej i zapewnienia miejsca jej właściwego.



Serca nam tem pożądaniem biją jedynie, lecz nie są bynajmniej kierowane ideałem wojowniczym.

Pragniemy tylko móżdżek ufnie spoglądać w przyszłość, ażeby się przekonać, czy istnieje sprawiedliwość, która musi dać Francji godzinę godnego jej odwetu.“

Z trzeciej strony: 1870 r.

„Francuzi! Wzniescie Wasze duchy i czyny na wysokość niebezpieczeństwa. Jeszcze od Was zależy pokazać światu, co potrafi wielki naród, który nie chce zginąć“ (\*).

Posąg Gambetty, w zwyczajnym ubraniu cywilnym, z ramieniem wyciągniętym naprzód, gestem energicznym wskazuje rodakom drogę honoru i obowiązku.“

U podnóża grupa żołnierzy, podnoszących się i zbierających rozproszony oręż.

Nadpis:

„Gambecie — ojczyzna — Rzeczpospolita.“

Tak się skarży i tak hejnał nadziei i życia śpiewa dusza Francji.

Prawie, że klęczę, przepisując te napisy. Męczy mnie to strasznie, ale podobają mi się one, podoba mi się ten sposób podnoszenia ducha w narodzie i odczuwam potężny ból, który dyktował te słowa i powiew siły odrodzenia...  
Idę dalej. I doznaję wrażenia... wszak przeszedłem przez budowlę starego Luwru... zewsząd zamknięty plac otaczający, jak gdyby stopiona dusza Francji rozszerzała się, pierś coraz szerszego nabierała oddechu...  
Jak cudnie... Pyszny gmach.  
W pośrodku wznosi się brama tryumfalna z dwoma alegorycznymi posągami: Wojny i Prawa.  
Przechodzę obok i znajduję się w ogrodach Tuilleries.  
Mało drzew... kwietniki... drzewa stanowią tu tylko jak gdyby tło... białe posągi, na lewo zdała po przez gałęzie drzew spostrzegam koronkową sylwetkę wieży Eiffel. Przede mną olbrzymia jakaś iglica kamienna wysoko w górę strzela! Domyślam się, że to obelisk. Idę ku niemu.  
I ciągle doznaję wrażenia wielkiej ciszy ducha i wielkiego piękna!...  
Przede mną jakiś cudny, biały posąg. Dziewczyna o kształtach smukłych i wdzięcznych zaplata ruchem tęsknoty pełnym ręce nad głową. „Le réveil.“  
I znów grupa biała. Dziecka o bohater-  
skich rysach twarzy w alzackiej wielkiej kordzie na głowie, podtrzymuje upadającego żołnierza, broń jego dźwiga i nogą swą depce węża czy zdradę?...  
Napisu żadnego.  
Coraz wspanialszy i obszerniejszy roztacza się widok. Naokoło gmachy Tuilleries, posągi i grupy marmuru... Wielki zbiornik wody, a w środku wdzięczny, nie wielki wodotrysk, po basenie płyną białe flotyle dziecięce.  
Znów posągi... I Prometeusz swemi bolesnymi oczyma — człowieka... spogląda w górę, azali nie wybija godzina tryumfu kochanków i gwałtowników światła...  
Daleką! daleką jeszcze, o bracia!..! ta godzina!...  
Igła obelisku coraz bliższa...  
Aha... Tam grają w „diabolo.“  
Czy znacie tę grę, czytelniczki?... W Ostendzie w tym roku, co krok spotykało się ćwiczących się w tym sporcie.  
Więc grali w „diabolo“ młodzieńcy, sami do „diabolo“ podobni, panienci, aniołki bardziej przypominające, korpulentne bardzo osoby płci niewieściej, panowie wielce stateczni... ba... kto nie grał w „diabolo“ w Ostendzie? nawet biedne dzieci rybackie, którym często łachmany literalnie z pleców opadały i te grały w „diabolo.“

\*) Słowa Gambetty.

\*\*) Słowa „Guide'a.“

Parę dni temu w „Petit Parisien“ czytałam, iż odbył się wielki match międzynarodowy francuzko-angielski tej gry, tak się nią Europa interesuje!..

Co to jest „diabolo?“

To cynowe dwa maleńkie stożki, złączone jak gdyby osi. Trzyma się to na sznurku, przymocowanym do dwóch kijków i łapie...  
Otóż przed sobą mam, jak widzę, istnego mistrza tego sportu.

Tłumy przyglądają się gromadnie. Bo do prawdy jest na co patrzeć!  
„Diabolo“ leci i spada, leci i spada... i zawsze na podstawiony w porę i z przedziwną trafnością wzroku cienki sznureczek... Leci coraz wyżej... wzbija się wprost w błękity... od ptaka przelatuje diabolo wyżej!... jakiś szmer odzywa się wśród zgromadzonych... to szmer podziwu i uznania.

Rzeczywiście, ta zręczność, giętkość, bystrość rzutu i oka, są wprost zdumiewające!...  
Rzucam półgłosem „brawo!“ i idę dalej.  
Oto obelisk. Witam cię, gościu z innej krainy. I ty tutaj, cudzoziemcze!  
Jakiś ty piękny! Jak hardo strzelasz w górę!...  
Duchy w górę!... Jest tam zimno chwilami... w tych górnych strefach!  
Spostrzegam na prawo maleńką kapliczkę... nie, to nie kapliczka, bo na jej szczycie głowa kobieca, Pod nią mnóstwo sztandarów, wieńców.

Napis: 1870—71. Hold Strasburgowi.

Wielka litera.

Qui vive? La France. Quand même.

Ja wiem, że ona, ta „La France“, że to Francja obecnie bogata i potężna. a jednak doprawdy serce mi się ściska współczuciem dla bolesnych chwil, których ten pomnik jest przypomnieniem, lecz zarazem duch mój na pytanie: „Qui vive?“ inną pragnąłby dać odpowiedź... dodając jeszcze: „Quand même...“ Sursum corda!..

W myślach pogrążona, nie spostrzegłam, że deszcz zaczyna padać... I naraz robi mi się smutno... Co to? Ach! to słońce znikło! Znikł błękit przebogaty w odcieniach! tak szaro wokoło!..

Wracam tą samą drogą, spieszenie, na nie patrząc, nie podziwiając. Dźwigam parasol nad głową, dźwigam suknię, dźwigam kartki, na których te wrażenia kreśliłam... spoglądam na zegar Luwru, ależ to czwarta, a ja wyszłam o jedenastej...  
Aż nagle na stropie nieba wytryska tęcza. O cudzie! tyś piękniejszy od wszystkich gmachów Tuilleries i Luwru!  
I duch mój znów się budzi.  
Zapominam, że głodna i zmęczona.  
„Qui vive?“  
A sercem całym dodaję:  
„Quand même!“

Władysława Nidecka.



SARYUSZ.

(ZOFIA CIESZKOWSKA).

## PODWÓJNA MORALNOŚĆ.

SZKIC POWIĘSIOU.



(Ciąg dalszy).

III.

Lata płynęły.

Pan bawił się, jak zwykle, po za domem, a pani z każdym rokiem stawała się bledsza

i smutniejsza Dwór stał opustoszały. I tylko w święta i wakacje rozbrzmiewał weselem, gdy Helusia wracała z pensji, a Stefan ze szkół przywoził z sobą kolegę i przyjaciela, Zygmunta, którego wszyscy lubili serdecznie.

Lata płynęły, Stefan pojechał zagranicę do uniwersytetu, studyować chemię, Zygmunt pozostał na medycynie w Warszawie i jak zwykle z przyjacielem przyjeżdżał na wakacje do Zalesia. Spacerom wówczas i rozprawom nie było końca. Matka odgadywała życzenia młodych, ojciec jeździł z nimi do żniw lub do lasu. Zygmunt rozkochanemi oczyma obejmował wdzięczną postać Heli, ona płonęła pod jego spojrzeniem.

Aż pewnego razu, gdy mocniej, niż zwykle, pachniały róże, jaśminy i akacje, gdy słowik z gęstwiny się odzywał, a księżyc wysrebrzał drzewa i kwiaty, gdy matka grała jakąś rzewną melodyę, a oni wsłuchani w nią siedzieli w altance, nagle jakaś dziwna moc popchnęła ich sobie w ramiona i Zygmunt wyznał Helusi swą miłość czystą, prostą, jak ich młodość i jak przyroda, co ich otaczała.

Stefan tą wieścią był uszczęśliwiony, ojciec pokręcił wężą z zadowoleniem, matka była rada, choć obawiała się zamążpójścia Helusi.

Był to cudny dzień letni, dzień czerwcowy, Helusia w białą sukienkę ubrana, rannikiem pobiegła na łąkę i przyniosła cały snop polnych kwiatów. Usiadła przed gankiem i poczęła układać bukiety z kwiatów zerwanych.

Twarz jej płonie z uciechy. Przedwczoraj powrócił Stefan z dyplomem, dziś, może za chwilę, przybędzie Zygmunt. Więc piosnka jej dźwięczy wesoło, a serce drży radośnie.

Na ganku stanął Stefan z kapeluszem w ręku. Śnać gotuje się do wyjścia. Zapalił papierosa i rozradowanym wzrokiem rozgląda się do koła.

Helusia rysami przypomina ojca, Stefan jest żywym portretem matki. Ma jej myślące czoło, fioletowe, marzycielskie oczy i nadzwyczaj szlachetny, ujmujący wyraz twarzy. Po ojcu wziął tylko wzrost wyniosły.

— Ślicznie wyglądasz, siostrzyczko,— odezwał się do dziewczęcia.

„O jak szczęśliwy to młodzieniec,  
Komu ten ślubny splatasz wieńiec,  
Z róż, lilii i tymianku.“

Helusia reześniała się dźwięcznie.

— Ho, ho! jaki poetyczny jesteś... Ale i ja się tobie napatrzeć nie mogę. Tak się cieszę, że skończyłeś już te nauki za granicą. Jaki ty musisz być mądry! no, no...

— Jakaś ty jeszcze naiwna,— śmiał się Stefan.

— Wiesz, myśmy strasznie tęsknili za tobą. Nawet ojciec. O! bo dla ojca ty jesteś całym światem...

— Doprawdy?

— Rozumie się, na mnie ani spojrz. Tylko Stefan, dla Stefana, przez Stefana...

— Paradna jesteś! Ale słyszysz, ktoś je-dzie... pewnie Zygmunt...

— Cicho, pssst... prawda... słyhać turkot... O mój Boże!...

— Nie, to ktoś przejechał... Ależ się zaru-



mieniłaś... Oj, ty dzieciaku!... Helu! jak tu ładnie, napatrzeć się nie mogę. Radbym skakać do góry, jak za czasów sztubackich. Niema to jak szmat rodzinnej, własnej ziemi. Z rozkoszą tu będę pracował.

Na ganku zjawił się Raclawski.

Nie był to już ów Don Żuan wiecznie młody, lecz człowiek przeżyty i nagle fizycznie zrujnowany. Życie hulaszce zemściło się. Raclawski od lat kilku zapadł na zdrowiu, nogi zaczęły mu odmawiać posłuszeństwa, postać się pochyliła.

— Cóż, Helka — zawołał, — wyczekujesz na Zygmunta? No dobrze, dobrze, przybierz stół kwiatami, bo to dziś nie lada uroczystość... A co będzie na kolację, nie wiesz?

— Kurczęta i raki...

— Doskonale! oblejemy zdrowie młodej pary i dyplomu szampanem.

— Ojczulku! — zawołała uradowana i zmieszana i pochyliła się do ręki ojca.

— No, chodźmy Stefanie w pole, pokażę ci moją pracę!

— Służę ojcu.

Poszli, a Helusia rączką przysłoniwszy oczy, długo patrzyła na drogę.

— O Boże! Boże! jakam ja szczęśliwa! — myślała.

Poczęła przystrajać różami bluzkę i warkocze i śpiewać:

„Gdyby rannem słonkiem  
Wzlecieć mi skowronkiem...“

Z głębi ogrodu odezwał się głos, młody, dźwięczny, głos mężki:

„Już w dziecinne lata nasze...“

Helusia z okrzykiem radości pobiegła pędem w głąb ogrodu. Zdala w alei ukazał się młodzieniec opylony, snać przebył drogę piechotą, rozpromieniony, śmiejący się, pochwyił rączki Heli i począł je okrywać pocałunkami.

— Cóż zdrowa? A tęskniła? Kocha? — pytał jednym tchem w uniesieniu radosnem.

— No, dosyć już, dosyć dia Boga! — wołała Hela, broniąc się.

— O moje ty śliczności, moje kochanie, słoneczko moje!...

— A egzamin? Czy zdał?

Zygmunt z komiczną miną rzucił się przed dziewczęciem na kolana.

— A jakże, zdał i dyplom u nówek swej pani składa w pokorze.

Powstał i ujął ją za ręce.

— A teraz Helu! Helu! całe wakacje razem, czy słyszysz, razem! A potem to maleństwo będzie moje, na całe życie moje, na wieki moje!

Hela śmiała się także radośnie, ale, przekomarzając się, rzekła:

— A jeśli ojciec?...

— Co mi ojciec, co mi matka, co mi cały świat. Tyś moja, moja i nikt mi cię już wydrzeć nie zdoła!

Objął ją i przyciągnął. Ona, ulegając urokowi uczucia, położyła mu główkę na ramieniu. On ją marzył:

— A czy wiesz, będziemy mieszkali w mojej rodzinnej mieścinie, gdzie są moi starzy dobrzy rodzice, co cię kochać będą. Słuchaj, domek cichy, biały, dzikim winem spowity, ogród

pełen róż, a w nim moja Heluś w białej sukience, bo zawsze musi być w białej, prawda? Będziemy razem chorych odwiedzali, leczyli, wspierali i naszym starym rodzicom dogadzali... Ach, Heluś moja, jaki czeka nas raj na ziemi!

Rozpromieniony nachylił się, chcąc ją pocałować, ale ona się cofnęła.

— No, proszę, nie...

— On błagał:

— Tylko raz... raz jeden, moja pani, moja jedyna, moje wszystko. Przecież zasłużyłem, przywozłem dyplom i tak tęskniłem, o, jak tęskniłem. jak o tem powitaniu marzyłem!... Heluś... Nie? No, no, za to po ślubie, zaczęję! Helu!

— Nie... nie... panie Zygmuncie, ja pana proszę... ja się boję... ja... ja się gniewać będę!...

— Helusiu!

Patrzył na nią tak błagalnie, blady, rozkochany, że zarumieniona spuściła oczy.

— Aaa! — zaczęła drżącym głosem, — czy, czy nie kochał, czy nie całował już pan przedtem kogo?

Spojrzał na nią zdziwiony z oburzeniem.

— Co za myśl! panno Helu? Co też do tej głowiny przyszło?

— Bo... to... — bąknęła Hela, — ja raz słyszałam, że... że... I gdyby... gdyby... ja jestem strasznie zazdrosna... gdyby kiedy pan mnie...

I zarumieniona, dokończyła:

— To jabym... jabym tego nie przeżyła!

— Ależ, Helusiu, panno Heleno, nie pojmuję doprawdy z kąd takie szkaradne myśli? Jakże to można? A fe! brzydki dzieciak, dostanie teraz za to!

Pochwyił ją w objęcia i począł całować bez tchu, bez pamięci.

— Maleństwo ty moje — szeptał namiętnie, — duszo moja! szczęście moje!

I całował, całował bez końca, a ona mu się ślaniała w ramionach, mieniąc się z wrażenia.

Śmiał się ze szczęścia i usiłował zajrzeć w jej oczy, ale ona zarumieniona, jak różyczka, odwracała głowę zawstydzona.

— Co pan zrobił — dąsała się, — ja nie chcę... tak nie można... ja sobie pójdę...

Wyrwała się z jego uścisku i poczęła biedku domowi.

Ale on ją pochwyił.

— Chwileczkę, Helusiu...

— Ja nie chcę. Pan niegrzeczny, niedobry. Jak ja się teraz mamie pokażę... A jak ojciec pozna... O mój Boże! mój Boże! A Stefan?... Oni się domyślą... poznają odrazu, poznają.

Stali, już przy ganku po za klombem wśród gęstwiny bzów i kwitnących róż i jaśminów. Przez otwarte okna dobiegały dźwięki fortepianu, cudny „Nokturn“ Chopina.

— Pójdę się z mamą przywitać.

— Mamunia gra. Niech pan teraz nie przeszkadza. Posłuchajmy. Mamunia ślicznie gra, tylko tak zawsze smutnie.

Usiedli na stopniach ganku.

— Jakże to rzewne, prawda? aż się łzy cisną do oczu.

Zamyślili się, wsłuchani i przytuleni do siebie. Nagle Helusia zapytała:

— Panie Zygmuncie, czy pan nie wie, dlaczego mamunia taka zawsze smutna?

— Nie, panno Helu, ale mama chyba już oddawna jest taka.

Hela westchnęła.

— O tak, nie pamiętam nigdy mamy wesołej. Słyszałam, że mamunia była dawniej żywa, wesoła, i że dopiero po ślubie tak się zmieniła. Ale nie tylko ja, ale i Stefan nie pamięta nigdy śmiechu mamuni, chyba uśmiech taki smutny, że aż się serce kraje. Mówiłam z nim wczoraj o tem. Naszem najdawniejszym wspomnieniem są łzy mamusi. Stefan mówi, że to była jego pierwsza świadomość i pierwszy ból.

— Może jakie niepowodzenia, straty, śmierć blizkich?

— Właśnie, że nie. Przecież pan wie, że ojcu się powodziło zawsze dobrze. Tylko... tylko, że ojciec taki dla mamusi dziwny... Przecież pan widzi... Dla nas dobry, czuły, kochający, a dla mamy... O Boże, Boże, nigdy dobrego słowa... Jakby jej wcale nie widział, jakby nie istniała, jakby nią gardził. Gardził, jakie to dziwne, nią, taką świętą... Z początku wie pan, myślałam, że każda żona to jak niewolnica, a mąż, to jak rozbójnik, jaki Sinobrody.

— Doprawdy? — zaśmiał się Zygmunt.

— Naprawdę, i przysięgałam sobie, że nigdy zamaż nie pójdę. A później... ja widziałam, że to nie tak...

Łzy błysnęły jej w oczach.

— Gdzieindziej inaczej, tylko u nas...

— No, nie martwić się — uspakajał Zygmunt, — maleństwo, biedactwo kochane. Ja za to moją panią będą na rękach nosił, a tak zawsze pieścił, tak kochał! Moja dziecinka nigdy jednej łezki nie uroni. Helusiu, proszę rozchmurzyć mi się zaraz i uśmiechnąć, bo te łezki zcałuję.

Hela uśmiechnęła się przez łzy.

— No już... już...

— Tak, to co innego. Dziecinko ty moja. A czy wie pani moja, że już niedługo będzie moją żonką malutką, najdroższą.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Z Romansu wiosennego.



Było to wiosną, o tej szczęścia porze,  
Gdy każde serce żywszem sercem bije,  
Piers drży rozkoszą, zapał w oku gorze,  
Świat wysniewają zachwyty lilije,  
Rozum marzenia okiełznać nie może,  
Bo wiosna jeno serca myślą żyje,  
Tylko się pięknem, niby tęcza, mieni —  
A żal, gorycze, zostawia jesieni.

Dwa serca nasze, jak para gołębi,  
Jak róży białej dwa paki w rozkwicie —  
Nie znając fałszu, trosk, zwątpienia głębi —  
Śniły, że szczęście czeka w sieni dali  
Że, jak bańka złota, cudne będzie życie...  
...Było to wiosną, gdyśmy się poznali...

Stefan Machalewski.



## Nowości Gwiazdkowe!

W „nowościach gwiazdkowych“ księgarni Gebethnera i Wolffa, spostrzegamy kilka książeczek z dziedziny dziejów ojczyzn. Jakkolwiek literatura dla młodzieży obfituje w mniej lub więcej udane powieści i opowiadania historyczne, to prac tego rodzaju nie może być za wiele, zwłaszcza w obecnej, przelomowej dla nas chwili. Modernizm nadwątlił tę nić, co łączy stare pokolenia z młode — pochwyć ją musimy i ukrzepić i tą drogą przygotowywać nowe pokolenia do przyszłej roli dziejowej — w historii przedewszystkiem szukać nam drogowskazy na przyszłość, ażeby ustrzedz się błędów przeszłości.

— Pierwsza z pomienionych książeczek to 3-cie wydanie „Historii Polski, w pięknych przykładach przedstawionej” — zbiór wzorów dzielności, pracy, nauki i poświęcenia dla kraju, jakimi się nasi przodkowie odznaczyli — zestawil Józef Chociszewski (Warszawa, 1908. Cena 30 kop., w oprawie 40 kop.).

Są to świetlane chwile naszej przeszłości, naszkicowane niezmiernie żywo i uwalniczo, ponieważ autor miał tu głównie na celu młodzież i lud, to też książeczkę czyta się z takim zajęciem, jak piękną powieść. Na pochwałę układu pracy niniejszej przytaczamy to, co niedługo (1804 r.) pisał Niemcewicz w swym szeroko nakreślonym programie historycznym (z powodu mającego wychodzić pisma historycznego w Warszawie):

„Znakomicie użyteczną jest nauka historii, skoro ona, nie przestając na jałowym wyliczeniu lat, imion, miejsc... ocenia wartość i interes czynów, oraz wypadków historycznych.“

— Druga z kolei — to powieść znanego w tej dziedzinie pisarza W. Przyborskiego — to zmaganie się sił narodu z zalewem obcym, to jego przebudzenie i gwałtowna dążność ku szczytom, ku innej, lepszej przyszłości — to świetna karta historii naszej — „Racławice” — (z 6-ma ilustracjami Br. Gembarzewskiego. Warszawa, 1908. Cena w oprawie kartonowej 1 rb., w oprawie płóciennnej — 1 rb. 30 kop.).

Pełna spokoju i szlachetności postać wodza ukazuje święty, zapala miłość ludu — prostotą i entuzjazmem. Kościuszko porywa tłumy i prowadzi je... mimowoli przychodzi smutna refleksja — zapóźno. Losy młodego bohatera Antka z Hebdowa śledzi się z zajęciem, a sceny takie, jak przysięga na rynku krakowskim, szarża kosynierów na armaty moskiewskie — do głębi poruszają zdolne młodego czytelnika. Śliczną tę książeczkę polecamy gorąco.

— Ostatnie echa nierównej walki z przemocą znajdujemy w smutnej książeczce St. Brykczynskiego, p. t.: „Moje wspomnienia. R. 1863-ci” (z 6-ma rys. Konstantego Górskiego. Warszawa 1908 r. Cena w oprawie kartonowej 1 rb., w oprawie płóciennnej 1 rb. 30 kop.).

Autor opisuje działania party powstańczych w Lubelskiem i po części w Radomskim. Wzruszające są losy kompanii „Ptaszników.“ Pogarda śmierci, wytrwałość i dzielność tej garstki dzieciaków, wzięci piersiami broniących ziemi ojczyznej, ma w sobie coś niebywałego. Tragizm tej niesłychanej walki — to krwawa jakaś, nigdy nie zapomniana legenda.

— Nakładem tejże firmy wyszły „Przygody Mani w zaczarowanym ogrodzie,” bajka, Antoniny Morzkowskiej (z 2-ma obrazkami rysunku K. Górskiego. Warszawa 1907. Cena w oprawie kartonowej 60 kop.).

Jest to wdzięczna i zajmująca fantazyja, nie pozbawiona jednakże myśli głębokiej. Wydanie książeczki bardzo staranne.

J. A. P.

### Nowości gwiazdkowe księgarni M. Arcta.

— Arabella B. Bukley: „Zwróć oczy na przyrodę.” Tłumaczyła z angielskiego Marya Arct Gólczeńska.

#### „Życie roślin w polu, na łące i w ogrodzie.”

Mamy tu szereg pogadanek, wypowiedzianych w formie bardzo przystępnej, które dziecko, chcąc dopełnić swe lekcje z botaniki, z pożytkiem czytać może. Treść książki stanowią morfologia i fizjologia roślin. Tekst jest opatrzone licznymi obrazkami.

— Drugie dziełko tegoż autora (tłomacza H. St.) wyszło pod tytułem: „Życie ptaków.”

W niem poznaje dziecko życie, zwyczaje, najpospolitszych naszych ptaków krajowych: zięby, sowy, skowronki, słowiki i t. p. Książeczka jest bardzo odpowiednia do

rozwijania w uczniu zmysłu spostrzegawczego i może być bardzo pożyteczną dla dzieci od lat 8 in. Liczne rysunki i tablice kolorowe zdobną wydawnictwo.

— Edward R. Shaw: „Ludzie dorośli i ludzie mali.” Z oryginału angielskiego opracowała Helena Sterling.

Autor zapoznaje młodych czytelników z mieszkańcami Japonii, Chin, Indyi, Arabii i t. p. Nie obciążając szczegółami, zaciekawia wyobraźnię dziecka szeregiem obrazów egzotycznych. Opowiadanie niniejsze może być bardzo pożyteczne dla dzieci starszych, które już mają pojęcie o geografii.

— „Stara Baśń.” Powieść z 1X-go w. Napisał Ignacy Kraszewski, w wydaniu skróconem słowami autora opowiedział M. O.

Charakterystyka Słowian, ich wierzenia, obrzędy i obyczaje będą zawsze interesować dzieci, które historii ojczyznej już się uczyć zaczęły. Przeto książka przeznaczona być może dla dziecka w wieku 12-tu do 13-tu lat. Autor potrafił ją streścić w ten sposób, że pozostawił w całości obrazy i opisy piękniejsze, skutkiem czego powieść nie straciła nic na barwności. Wydawnictwo zdobną ilustracje Antoniego Gawińskiego.

— „Zemsta Jaśka,” opowiadanie historyczne, napisała Walerya Szalayowa.

W tło czysto historyczne autorka zręcznie wplata bardzo zajmujące opowiadanie, zaciekawia i rozbudza wyobraźnię czytelnika.

W pierwszej części występuje młody Jaśko z Melstyna. Szlachetną zemstą, odwagą i poświęceniem zjednywa podziw i uwielbienie towarzyszy. Rzecz dzieje się w czasie bitwy Głogowskiej. Bohaterem drugiej części książki jest Sławko Zaręba. Poprzysiągł zmazać plamy ze swego rodu i, dzięki nadzwyczajnym wysiłkom i silnej woli, dokonał tego.

Ilustrował książkę Al. Brzostka.

M. W.

## „Katolicyzm a cywilizacja.”

Pod egidą „Stowarzyszenia katolickiego przyjaciół młodzieży,” ks. Jan Gnatowski, pisujący pod pseudonimem Jana Łady, zorganizował szereg odczytów, których celem jest: zogniskowanie wszystkich działaczy, stojących na gruncie tradycji i przywiązania do Kościoła, usiłowanie stworzenia instytucji, która by zogniskowała intelektualny ruch katolicki u nas: wreszciechę wytworzenia działaczy, zdolnych do walki z ateizmem.

„Towarzystwo katolickie przyjaciół młodzieży,” pod którego patronatem odbywają się te odczyty, zostało założone przez hrabiankę Cecylię Platerównę i tworzy „kółka etyczne,” oraz „ogniska domowe” dla uczniów, pozbawionych rodziny, a więc tem łatwiej ulegających wpływom niemoralnym. Kółka te potrzebują kierowników i prelegentów. Konferencje, urządzone przez ks. Gnатовskiego, mają im takich prelegentów dostarczyć.]

Pierwszy odczyt wygłosił znany powieściopisarz i publicysta Wincenty Kosiakiewicz. Mówił o stosunkach Kościoła do sztuk plastycznych. Dowodził, że religie politeistyczne sprzyjają bardziej rozwojowi sztuki plastycznej, ponieważ domagają się ucieleśnionej formy dla bogów, licznych i zmysłowo pojmowanych. Następnie prelegent zwrócił uwagę, że Kościół katolicki był zawsze orędownikiem sztuk pięknych; udowadniając to, mówił najszerzej o architekturze chrześcijańskiej i o stylu gotyckim,

Druga konferencja, wygłoszona przez poetę, Ignacego Balińskiego, miała za przedmiot wykazanie stosunku wiary do poezji i zaznaczenie tolerancji, jaką Kościół katolicki okazywał wobec rozmaitych kierunków artystycznych. Inny poeta, J. K. Jasiński, podkreślił znaczenie dodatnie zwątpienia, które

nieraz do głębszej wiary prowadzi. Wreszcie bardzo ostro potępił modernizm. Lecz w obrobie jego wystąpił zaraz p. Szczepan Jeleński i przypomniał kilka utworów Kasprowicza. Maryan Massonius bardzo pięknie wyłuszczył, dlaczego poezja opiewa zwykle miłość.

Trzecim konferencyonistą był młody, a już bardzo zasłużony działacz katolicki, student uniwersytetu dorpckiego, p. Tadeusz Błaziejewicz, cieszący się wielkim mirem wśród młodzieży. Uzasadniał on, dlaczego etyka chrześcijańska jest wyższą i doskonalszą od etyki filozoficznej i naukowej: moralność chrześcijańska, uznając ład świata i cel życia, jest przedmiotową, przytem jest opartą na miłości bliźniego i odpowiada każdemu stopniowi umysłowego rozwoju. Prelegent skrytykował zwyciężkę a silnie moralną zasadę Kanta i przedstawił brak etycznych idei Spencera i Mill’a.

Jak zwykle, po tych konferencyach wywiązała się dyskusja. P. Jankowski przedstawił stosunek do chrystyanizmu różnych filozofów, którzy, mimo, że początkowo zwalczali etykę chrześcijańską, po dłuższem doświadczeniu życiowem, schylali przed nią głowę. Ks. Sokołowski scharakteryzował pięknie i rozumnie Chrystusową naukę, która ma dwie normy: jedną niższą, dla wszystkich dostępną — „normę obowiązku,” drugą dla dusz wyjątkowych: „normę doskonałości.“

Zauważyć należy, iż większem powodzeniem cieszą się kwestye społeczne, niż artystyczne i literackie, poruszane w tych konferencyach. Znamię czasu.

Konferencyi będzie sześć... Musiano z salki w „Świetlicy“ Ziemianek przenieść się do trzy razy większej, w Muzeum przemysłu i rolnictwa, Inicytorowie otrzymają zaproszenie, aby powtórzyli konferencje w całości, lub częściowo, w wielu miastach prowincjonalnych i między innymi w Wilnie.

Zjazd katolicki zgrupował w tym roku 400 osób, na Kursy społeczne przybyło 700 osób, w tej liczbie mnóstwo księży z dycjezyi Sejneńskiej i Kowieńskiej, którzy, zapominając o waśniach narodowościowych, przyjechali do Warszawy, jak do ogniska światła.

Nie na tem ogranicza się akcja katolicka. W swjej trosce o przyszłość narodu, o młodzież, usiłuje wytworzyć źródła wiedzy. Od Nowego Roku powstają dwa gimnazya katolickie: jedno pod egidą Związku katolickiego w Warszawie, drugie pod opieką duchowieństwa, we Włodawku.

Jednocześnie, pragnąc „zmodernizować,” że się tak wyrazimy katechizacyę, panna Marciszewska, w swojej Szkole ochroniarek, ukończyła świeżo piękne i mądre wykłady: jak uczyć religii. Prefekci szkół, ks. Kirchner i ks. Szkopowski wykładają nie tylko katechizm, historję Kościoła, ale i naukę moralności, w sposób nie dogmatyczny, suchy, lecz owiany ciepłem miłości dla ludzi, przyrody i dla towarzyszy i pomocników w pracy człowieka — dla zwierząt. Rozumni i zacięci mistrze młodzieży budzą w jej sercach współczucie dla wszystkiego, co żyje, czuje i cierpi.

— cz. —

## Ze Stowarzysz. umysłowo pracujących Polek.

W ubiegłym tygodniu wysłano do deputowanego czeskiego d-ra Kramarza, depeşę następującej treści:

„Czcigodnemu posłowi czeskiemu, od którego wyszła myśl protestu przeciw gwałtom pruskim, uciskającym naród bratni, wyrazy wdzięczności przesyłają córki tegoż narodu,

połączone  
uczających

W sobota  
wiecz  
przez Sto  
przonymi  
kną salę  
się artyst  
rozmaicon  
nicy kon  
i zajmują

Z

Były d  
w Łodzi,  
nikarstwa  
wy praco  
cyan Ko  
roku żyje  
3-cim G  
w kołach  
swojej d  
jako i d  
swojej, ja  
pracy do  
zbawiony  
niechęci,  
szczerym  
wników p  
niku Łó  
„Gońcu”  
w tem c  
dopóki n  
pożytecz

W szp  
wych cie  
przeżywa  
Jungiewi  
współpra  
a niedo  
Zdolny i  
felieton  
konkurs  
szą nagr  
wersytec  
stów, pr  
tralnym”  
rych to  
rzem. R  
żytku” i  
tyckie w  
smach, p  
te rzeczy  
się wśró  
prawo d

— „Now  
stwa do o  
ganizacyj  
w sprawy  
projekt do  
państwowe  
— Wiel

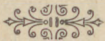


Wreszcie  
ez w obro-  
an Jeleń-  
Kasprowi-  
ęknie wy-  
wyklye mi-

połączone w „Stowarzyszenie umysłowo pra-  
cujących Polek.“

Podpisano: Przewodnicząca  
Zofia Seidlerowa.  
Wice-przewodnicząca:  
Teresa Wolowska-Prażmowska.

W sobotę, dnia 7-go b. m. odbyła się pierw-  
sza wieczornica w tym sezonie, urządzona  
przez Stowarzyszenie. Członkowie wraz z za-  
proszonymi gośćmi, wypełnili po brzegi pię-  
kną salę Stowarzyszenia Techników, racząc  
się artystycznymi produkcjami bogatego i u-  
rozmaitego programu. Całość tej wieczor-  
nicy koncertowej wypadła bardzo barwnie  
i zajmująco. z. b.



## Z żałobnej karty.

### Ś. p. Lucyan Kościelski.

Były dyrektor i założyciel sceny polskiej,  
w Łodzi, jeden z pierwszych pionierów dzien-  
nikarstwa w tem mieście, sumienny i gorli-  
wy pracownik na niwie literackiej, ś. p. Lu-  
cjan Kościelski, zmarł na suchoty, w 58 ym  
roku życia, w Sanatorium w Otwocku, w dniu  
3-cim Grudnia r. b. Zmarły ceniony był  
w kołach literacko-teatralnych zarówno dla  
swojej dobroci i uczciwości, jako człowiek,  
jako i dla dużych zdolności i pracowitości  
swojej, jako publicysta. Kolega i towarzysz  
pracy dobry i cichy, krytyk teatralny po-  
zbawiony zjadliwości i wolny od osobistych  
niechęci, ś. p. Kościelski cieszył się zawsze  
szczerem szacunkiem, zarówno wśród praco-  
wników pióra i sceny. Pracował w „Dzien-  
niku Łódzkim“, „Kuryerze Codziennym“ i  
„Gońcu“ i do niedawna jeszcze zamieszkał  
w tem ostatniem piśmie dużo prac swoich,  
dopóki nielitościwa śmierć nie porwała tego  
pożytecznego i pięknego życia.

### Ś. p. Roman Jungiewicz.

W szpitalu Ś-go Ducha, po dwutygodnio-  
wych cierpieniach zgasł w kwiecie wieku, bo  
przeżywszy niespełna lat 30, ś. p. Roman  
Jungiewicz, literat i dziennikarz, długoletni  
współpracownik „Dziennika Powszechnego“,  
a niegdyś jeden z filarów wesołych „Koleców“. Zdolny i ruchliwy, cieszył się opinią dobrego  
felietonisty i piosenkarza: przed paru laty na  
konkursie „Gazety Polskiej“ otrzymał pierw-  
szą nagrodę za felieton, poczem z ławy uni-  
wersyteckiej przerzucił się w szeregi publicy-  
stów, pracując w „Wieku“, „Kuryerze Tea-  
tralnym“ i „Dzienniku Powszechnym“, któ-  
rych to pism był przez lat kilka sekretar-  
zem. Redagował też „Księgę Uciechy i po-  
żytku“ i pomieszczał drobne fragmenty poe-  
tyckie w „Kuryerze Polskim“ i innych pi-  
smach, podpisywane „Erjot.“ Gdyby przesiadł  
te rzeczy przez gęste sitko—dużo znalazłoby  
się wśród nich drobnostek, mogących rościć  
prawo do trwalszego życia.



## Chwila bieżąca.

— „Nowoje Wremia“ donosi, iż prawo o stosunku pań-  
stwa do oddzielnych wyznań, oraz odwołanie praw or-  
ganizacyjnych w zakresie religii i mieszania się władzy  
w sprawy religijne osób prywatnych, ministerium wniosło  
projekt do rozpatrzenia spraw powyższych do Dumy  
państwowej.

— Wielu urzędników obawiających się zmiany ustroju

państwowego w Królestwie Polskim, w r. 1906-ym roz-  
poczęło starania o przetranslokowanie ich w inne miejsca  
Cesarstwa, wobec jednak obecnej, tak silnej reakcji, pro-  
śby swoje cofnęli.

— W tych dniach sąd wojenny w Warszawie rozpatry-  
wał sprawę organizacyi bojowej. Z początku r. z. wydział  
ochrony wpadł na ślad organizacyi, która wydawała bro-  
szury rewolucyjne; „Soldatskij listok“, „Konary“, „Kate-  
chizm żołnierza“, „Pieśni waiki“ i t. d. Pierwsze aresztowa-  
nia odbyły się w Młocinach pod Warszawą i przy ulicy  
Górczewskiej. Obecnie przed sądem stanęło 14 osób, z tych  
jednego skazano na 7 lat ciężkich robót, czterech na 6 lat,  
dwóch nieletnich na dwa lata, Sześciu niewinniono.

— W sali Stowarzyszenia Techników zebrało się więcej,  
niż 500 osób na naradę, jak się zachować wobec strasz-  
nych gwałtów pruskich, dla zorganizowania bojkotu, tak  
towarów pruskich, jak i pism peryodycznych niemieckich,  
i otworzenia komitetu do kierowania akcją i zaproszenia  
ochotników do udziału w tej pracy. Majstrowie fabryczni  
miasta Warszawy zebrani w dniu 6-ym b. m. powzięli soli-  
darnie uchwałę, aby bojkotować wszystkie towary nie-  
mieckie, jako protest przeciw wywłaszczeniu Polaków.

— Andrzej Niemojewski, redaktor „Myśli niepodległej“,  
uzyskał pozwolenie od władzy i zwołał w dniu 8-ym b. m.  
zgromadzenie w celu omówienia projektu: „Wolnej gminy  
i związku wolnych myślicieli.“ Karty wstępu na zgrom-  
adzenie wydawane były tylko tym osobom, które podpi-  
sały się pod następującymi punktami, dążącymi do osią-  
gnięcia praw dla każdego członka „Wolnej myśli.“ 1)  
świecka metryka, 2) cywilny ślub, 3) cywilny rozwód, 4)  
cywilny pogrzeb, 5) świecka szkoła. Następnie każdy  
z uczestników zobowiąże się, że ilekroć zmuszony będzie  
stawać w sądzie w charakterze świadka, składać będzie  
t. zw. uroczyste oświadczenie mówienia prawdy, zamiast  
przysięgi konfesyjnej.

— Akademia Umiejętności w Krakowie otrzymała legat  
200,000 koron (80,000 rubli), od prezesa rady nadzorczej  
Stowarzyszenia „Oświata“ w Nieświeżu, p. Józefa Pilaw-  
skiego, z tym warunkiem, że po śmierci legataryusza po-  
łowa odsetek z tej sumy ma wpływać corocznie na Oświa-  
tę nieświeżką.

— W Łodzi toczy się zatarg pomiędzy gminą żydow-  
ską a szpitalem imienia Poznańskich. Gmina zaległa  
w zapłaceniu 70,000 rubli; Zarząd szpitala postanowił nie  
przyjmować chorych bezpłatnie, tylko takich, którzy mo-  
gą z góry uiścić sumę 11 rb. 25 kop. za pół miesiąca, t. j.  
75 kop. dziennie. Jest to dotkliwą klęską dla biednej lud-  
ności żydowskiej. Nie mniejszą klęską będzie dla miesz-  
kańców Łodzi zamknięcie ambulatoryum przy szpitalu  
Poznańskich, co nastąpi, jeżeli pp. Poznańscy cofną do-  
tychczasową zapomogę. Na list wysłany do Berlina nie  
otrzymano odpowiedzi, lecz nikt się nie ludzi, co do spo-  
dziewanej treści; postanowiono, nie czekając na odpowiedź,  
zaprowadzić oszczędności, zredukować służbę, zmniejszyć  
liczbę dokonywanych w ambulatoryum opatrunków i zam-  
knąć aptekę ambulatoryjną.

— „Kuryer kielecki“ donosi o nakazie prezesa izby  
skarbowej kieleckiej, aby urzędnicy porozumiewali się z in-  
teresantami w języku urzędowym, pod groźbą wydalenia  
ze służby, jeżeli zakaz będzie przekroczony.

— Co do aresztowanego w Pabianicach poliemaistra  
Jonina, dochodzą nas wielce interesujące szczegóły. Przez  
czas trzymiesięcznej działalności swojej w tem mieście,  
zdołał Jonin oburzyć na siebie ogół mieszkańców, wywo-  
lując przy każdym zetknięciu z publicznością skandal i na-  
dużycie. Przez czas trzymiesięcznego swego urzędowania  
w Pabianicach „zarobił“ 13,000 rubli.

— W gubernii Piotrkowskiej ś. p. Seweryn Mini-  
szewski z Witowa zapisał 41,000 rb. na założenie średniej  
szkoły rolniczej w gub. Piotrkowskiej.

— W uniwersytecie kijowskim wznowiono zajęcia po  
10-dniowej przerwie. Niepozwolono jednak przychodzić  
tym studentom, których nazwiska są zapisane w protokóle.

— W gub. Kijowskiej, pow. Berdyczowskim, zaaresztowa-  
no pięciu bandytów, którzy stanowili bandę rozbójni-  
czą, z nauczycielką wiejską na czele.

— Oslawiony Schmidt posel i zdrajca umieszcza w ga-  
zecie „Minskoje Slovo“ przez siebie wydawanej, artykuł  
w formie listu, podpisany jakoby przez włościaninina ze  
wsi Błoń, wzywający do przymusowego wywłaszczenia  
obywateli Polaków.

— Koło polskie w parlamencie wiedeńskim przesłało  
swoją protest rządowi pruskiemu, co wywołało z jego stro-  
ny oburzenie z powodu mieszania się do wewnętrznej po-  
lityki państwa. Prasa węgierska nazywa projekt o wy-  
właszczeniu pruskim aktem gwałtu.

— Uchwała sejmu pruskiego o wywłaszczeniu z ziem  
Polaków i o zakazie używania języka polskiego na zebra-  
niach publicznych, spotkała się z protestem wśród swoich  
i obcych. W Berlinie odbył się wiec Polaków tam za-  
mieszkałych, którzy przyjęli odpowiednią uchwałę jedno-  
myślnie. W Katowicach na zjeździe pruskiej partyi so-  
cjalno-demokratycznej uchwalono protest.

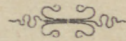
— Po uchwaleniu nieludzkiego prawa o wywłaszczeniu  
Polaków, posłowie słowiańscy i włoscy urządzili manifesta-  
cye w parlamencie wiedeńskim. Posłowie zaś polscy założyli  
protest. Pomimo tego pruski sejm przekazał projekt no-  
wej ustawy rządowej przeciw Polakom komisji, złożonej  
z 18-tu członków. Za inicjatywę w sprawie protestu po-  
słów słowiańskich przeciw anti-polskiej ustawie, poseł mło-  
doczeski Kramarz, otrzymał do tysiąca depeesz dziękczyn-  
nych.

— Poseł czeski, d-r Kramarz, który podał w parlamen-  
cie wiedeńskim projekt protestu przeciw gwałtom pru-  
skim, jest przedmiotem wdzięczności całego inteligentnego  
ogółu polskiego. Codziennie rozmaite stowarzyszenia i  
warstwy ludności przesyłają d-rowsi Kramarzowi dzięki-  
czynne depesze. Urzędnicy zaś Banku handlowego posta-  
nowili w miejsce depeszy przesłać czek na czeską Macierz  
szkolną, wyrażając życzenie, aby więcej takich jak on, mę-  
żów, wydawała.

— „Liberale Correspondenz“ donosi o zamiarach cof-  
nięcia projektu o wywłaszczeniu Polaków, powodem któ-  
rego ma być upór konserwatystów, żądających takich zmian  
w projekcie, na jakie rząd zgodzić się nie może.

— „Przegląd poranny“ z dnia 8-go b. m. przyniósł sen-  
sacyjną wiadomość, według berlińskiej „Deutsche Corre-  
spondenz“, o zamierzonej przez cesarza Wilhelma abdyka-  
cyi na rzecz syna następcy tronu, którego zdolnościom  
cesarz ufa w najzupełności. Otoczenie jednak Wilhelma  
II-go, stara się odwieść go od tego rozpaczliwego kroku.

— Ś. p. Józef Muklanowicz, dziennikarz, zmarł  
w Warszawie, po dłuższej chorobie. Zasiłak pracami swe-  
mi; „Kuryer Polski“, „Gazetę Polską“, „Książkę“, „Ogni-  
sko“, „Kuryer Litewski“, „Gazetę kaliską“, „Kuryer  
Warszawski“ i inne. Zaczny i pracowity, pozostawił po  
sobie żal wśród tych, co go bliżej znali. Przeżył lat 35.



## Od Administracyi.

Dla całorocznych prenumeratorów „Bluszc-  
czu“, którzy wnieśli rubli 2 za 20 tomów  
dołącza się jako tom 18-ty szkice Stefana  
Sierzputowskiego p. t. „Szaleńcy“

Celem uniknięcia zwłoki w przesyłaniu na-  
szego pisma, upraszamy Szan. Prenumerator-  
ki o wczesne wnoszenie przedpłaty na kwar-  
tał następny.

Zwracamy przy tem uwagę, że dla uniknię-  
cia wszelkich nieporozumień, najlepiej wysy-  
łać listy pieniężne bezpośrednio do Admini-  
stracyi „Bluszczu“ (Nowy-Świat, 41).

### Treść numeru:

Kobieta polska w dziennikarstwie, referat Eugenii Żmi-  
jowskiej.—Z doby obecnej, przez Stefana Gorskiego — Bez  
celu, powieść, przez Maryana Gawalewicz (ciąg dalszy).—  
Idę przed siebie i Szukalem... (wiersze), przez Zygmunta  
Różyckiego. — Nasz ideał kobiecy w najnowszej literatu-  
rze, przez J. Okszę (ciąg dalszy). — Uniwersytet ludowy  
w Anglii, przez Eugenję Zypowską (dokończenie). — „Szkol-  
la“, sztuka w 3-ach aktach Z Kaweckiego, przez J. A. Ki-  
sielewskiego.—Z listów do „Bluszczu“; z Paryża, przez W.  
Nidecką.—Podwójna moralność, szkic powieściowy, przez  
Saryusza (Zofię Cieszkowską) (ciąg dalszy).—Z Romansu  
wiosennego (wiersz), przez Stefana Machalewskiego.—No-  
wości Gwiazdkowe, przez J. A. P. i M. W.—Katolicyzm  
a cywilizacja, przez eż.—Ze stowarzyszenia umysłowo  
pracujących Polek, przez z. b.—Z żałobnej karty: Lucyan  
Kościelski i Roman Jungiewicz. — Chwila bieżąca.—Od  
Administracyi. — Ogłoszenia

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 6-ty noweli  
p. t. „Żona pożyczona“, z przekładzie Z. G.

Dodatek: Opis ubiorów i robót z rycinami.



# SERWISY STOŁOWE Rub. 32, 35, 40, 45, 50, 55, 60 i t. d.

SKŁAD I WŁASNA MALARNIA PORCELANY, SZKŁA I FAJANSU

## STANISŁAWA GÓRSKIEGO

NOWY-ŚWIAT № 37, TELEFONU 3631. Proszę zwrócić uwagę na firmę i adres.


Poleca ogromny wybór serwisów stołowych, szkła, platerów na białym metalu, majoliki, terrakoty. Ozdoby do mieszkań i ogrodów. Własna malarnia wykonywa artystycznie całkowite wyprawy ślubne oraz fotografie wieczne na porcelanie. **UWAGA:** Każdy kupujący serwis porcelanowy otrzymuje **bezpłatnie 100 sztuk** szkła stołowego.

### Księgarnia Gebethnera i Wolffa w Warszawie

poleca

#### Nowości Gwiazdkowe

BRYKCYŃSKI ST. Moje wspomnienia. Rok 1863, z 6-ma rysunkami K. Gorskiego.	Karton	1.—
	W ozdobnej oprawie	1.30
BUKOWIECKA Z. Jak Piastowie budowali Polskę. Opowiadanie.	Karton.	— .50
		— .60
CHOCISZEWSKI J. Historia polska w pięknych przykładach przedstawiona.	Karton.	— .30
		— .40
DALSÈME A. J. Pan z Antypodów. Przygody na lądzie i morzu, spisane dla młodzieży od 12 do 15 lat. Z wielu rycinami. Przekład z francuskiego.	Karton	— .75
GOULD A. W. Dzieci matki przyrody. Pogadanki o życiu zwierząt i roślin, ze słowem wstępem Wacława Jeżewskiego. Przekład z angielskiego E. L., z 200 rycinami w tekście.	(w druku)	
MORZKOWSKA A. Przygody Mani w zaczarowanym ogrodzie. Bajka z 2-ma obrazkami rysunku K. Gorskiego.	Karton.	— .60
PRZYBOROWSKI W. Raclawice. Powieść historyczna dla młodzieży z 6 illust. Br. Gembarzewskiego.	Karton	1.—
	W ozdobnej oprawie	1.30
URBANOWSKA Z. Gucio zaczarowany, powieść dla młodszych dzieci. Z 10-ma rycinami i ozdobną okładką kolorową. Wydanie 4-te.	Karton.	1.20
VERNE J. Wyspa tajemnicza. Dzieło uwieńczone przez Akademię francuską. Przekład J. Belejowskiej. Wyd. nowe w 2 tomach, z ilustracjami	Karton	1.50
		1.80
	W ozdobnej oprawie	2.—
ZALESKA J. M. Przygody młodego podróżnika w Tatrach. Z dziennika Kazia przepisała... Z 16 tu drzeworytami. Wydanie 3-cie przejrzone i poprawione.	Karton	1.—

 Katalog szczegółowy książek na podarki dla dzieci i młodzieży księgarnia wysyła bezpłatnie.

## Zakład Artystyczno-Reperacyjny

Marszałkowska 62.

**NAJTANIEJ!** Reperacja starożytności, wyrobów z brązu, marmuru, alabastru, drzewa i t. p. Reperacja wszelkiej galanterii, t. j. albumów, figurek. Odnowianie i restaurowanie starych obrazów, oprawa w ramy. Reperacja wachlarzy z kości, szyldkretu, drzewa i t. p. Klinika lalek i reperacja zabawek.

## KSIĘGARNIA

### KUHNKE I ZIENKOWSKI

w Warszawie, Marszałkowska 74 (róg Hożej). Telefon 27-67

posiada na składzie wielki wybór książek ozdobnych, odpowiednich na podarki gwiazdkowe, dla starszych i młodzieży. Wszelkie wydawnictwa w polskim i w obcych językach otrzymuje zaraz po wyjściu. Poleca globusy, atlasy, znaczny wybór książek do nabożeństwa w gustownych oprawach, w polskim i litewskim języku. Przyjmuje prenumeratę pism periodycznych. Wszelkie zamówienia w zakresie księgarstwa wchodzące załatwia szybko i dokładnie.

Najlepsze środki udelikatniające i wybielające skórę są



### Krem, Alkohol i Mydło ogórkowe

wyrobu Apteki **M. Malinowskiego**

w Warszawie, Nowy-Świat 35.

**M-me Z. Laurysiewicz**

Poleca **NOWOŚCI**

w kołnierzykach, krawatach, wstążkach, koronkach, pończochach, szpilkach i t. p.

Wierzbowa, Hotel Angielski

# Andriolli

w sztuce i życiu społecznym  
przez H. Dobrzyckiego i H. Piątkowskiego.

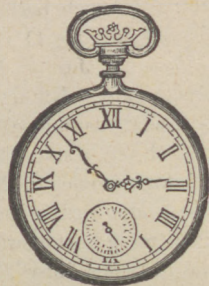
303 rysunki w tekście i po za tekstem  
w tem 28 nigdzie dotąd nie reprodukowanych

Na welinie cena **rb. 12,**  
na papierze kredowym **16.**

Na przesyłkę i opakowanie doliczać należy Rb. 1. Zamawiający w Administracji „Bluszczu”: Warszawa, Nowy Świat 41, kosztów przesyłki i opakowania nie ponoszą.

**Skład główny w księgarni Wende i S-ka**  
(właściciele Hiż i Turkuł).

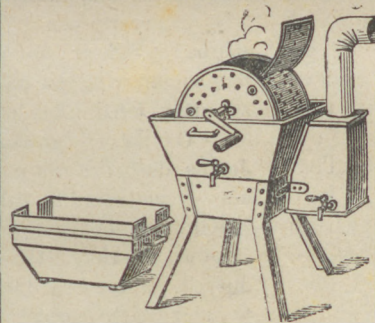
egzystuje od 1898 r.



## Pracownia Zegarmistrzowska JANA JEZNACKIEGO

43. Nowy-Świat 43.  
(Renaissance) w podwórzu.

Sumiennie i najtaniej wykonywa wszelkie roboty zegarmistrzowskie. Poleca tanie zegarki okazjnie, piękne zegary starożytne, repetyery.



## Pralnie parowe

Wyżymaczki amerykańskie

Wanny. Magle.

NACZYNIA KUCHENNE

MASZYNKI DO KAWY

Szatkownice

polecają **Krzysztof Brun & Syn**  
w Warszawie, Plac Teatralny.

PRACOWNIA BIELIZNY I HAFTU

## H. ZBRANIECKIEJ

KRÓLEWSKA № 17.

Telefon № 112.56.

## !! GORSETY !!

nagrodzone na konkursie  
i medalami na wystawie

Przyjmuje do nauki kroju i szycia. Poleca gorsety paryskich fasonów i dla pensjonarek.

### I. KROPIWNICKA

Złota 3. WARSZAWA. Złota 3.